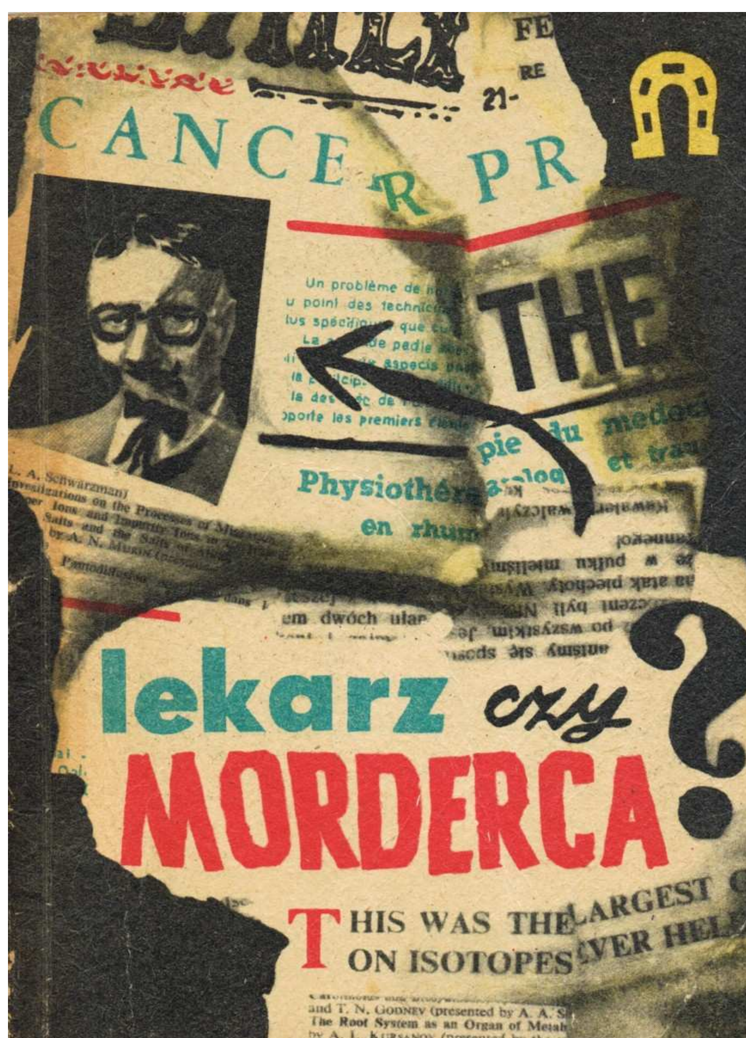
LEKARZ
CZY MORDERCA

I INNE OPOWIADANIA

ZŁOTA PODKOWA 30





WYDAWNICTWO „ŚLASK" KATOWICE 1959

N. M. O'RAYWEN

LEKARZ CZY MORDERCA?

W gabinecie Richarda Walkera

RICHARD Walker, naczelnik urzędu policyjnego, podniósł się z krzesła i spojrzał na swego rozmówcę.

Podczas długoletniej służby w tym nadmorskim miasteczku, Walker dokładnie poznał wszystkich jego stałych mieszkańców. Położone na południowy zachód od Londynu, nad samym morzem, w hrabstwie Sussex, Eastbourne cieszyło się od dawna zasłużoną sławą znakomitego uzdrowiska, w którym można nie tylko odpocząć i uciec od wielkomiejskiego gwaru, ale również wyleczyć schorowane ciało, nabrać sił, poprawić stan nerwowy.

Walker przyzwyczaił się już do napływu gości latem i do widoku eleganckich starszych panów i pań, którzy upodobali sobie tę miejscowość ze względu na stosunkowo niezbyt wysokie koszty utrzymania i bliskość do stolicy. Widział tu od lat stałych pacjentów, którzy co rok przyjeżdżali do Eastbourne na letnisko, i spędzali najgorętszy okres lata nad morzem. Widywał również turystów zagranicznych, szczególnie z Francji i Niemiec, którzy rozkoszowali się pięknym nadmorskim widokiem, przechadzali się po parku i jeździli na wycieczki, tłumnie oblegając ruiny starych zamków. Pierwszorzędne hotele Eastbourne reklamowały się w prasie i tygodnikach angielskich i francuskich, zachwalając znakomite warunki zdrowotne tej miejscowości oraz komfort swych apartamentów.

Życie w miasteczku toczyło się spokojnie i Richard Walker nie mógł narzekać na przepracowanie. Ostatnia, większa zbrodnia, którą popełniono tuż po zakończeniu wojny, została szybko wyświetlona, przysporzyła trochę sławy miejscowemu urzędowi policji i zaniepokoiła właścicieli hoteli, którzy starali się wiadomości o tym morderstwie zatuszować i nie dopuścić do większego rozgłosu. Goście są wrażliwi na tego rodzaju wypadki i niechętnie przyjeżdżają do miejscowości letniskowej, którą otacza zła sława morderstwa. Nie udało się co prawda całkowicie zagłuszyć sprawy, ale w pierwszych latach po wojnie prasa angielska miała tysiąc innych ważniejszych problemów do omawiania, niż jakieś pospolite morderstwo w małym, prowincjonalnym uzdrowisku...

Walker spojrzał jeszcze raz uważnie na swego rozmówcę i przypomniał sobie ostatnie wypadki, które obudziły niepokój w niektórych kołach poważnych i szanowanych obywateli miasta. Po mieście od dawna krążyły niedobre słuchy, ale jak to się często zdarza, najpóźniej dochodziły one do policji. Anglicy są bardzo trzeźwi i nader ostrożnie odnoszą się do jakichkolwiek plotek o człowieku, którego sami znają i wiele razy się zastanowią, nim zdobędą się na jakiś zdecydowany krok.

Powoli zapadł zmrok. Z okna swego gabinetu Walker widział położoną naprzeciwko willę, w której mieszkał naczelnik wydziału kryminalnego, Paugh. W pokoju, gdzie często siadywał ze swym kolegą do partii ulubionego bridża, paliło się już światło. Paugh wrócił dziś rano z Londynu i wcześniej opuścił służbę. Walker widział jego sylwetkę nachyloną nad stołem. Paugh czytał. Po chwili weszła do pokoju kobieta. Podeszła .do okna i zasunęła story.

— A więc — powiedział wreszcie Walker — twierdzi pan, że pani Hullet popełniła samobójstwo?

— Tak jest — odpowiedział pewnym głosem siedzący naprzeciw urzędnik — wszystko przemawia za tym. że to jest samobójstwo.

— Ile właściwie lat liczyła sobie ta pani? — zapytał Walker, który dobrze znał małżeństwo Hullet, ale nie umiał określać wieku kobiet. gdyż myliły go nowoczesne uczesania, stro-

je, wypielęgnowane twarze. Na wszelki wypadek. gdy w towarzystwie omawiano czyjś wiek, wolał milczeć.

Znał małżeństwo Hullet dość dobrze- Pan Hullet przed czterema miesiącami nagle zmarł na udar serca. Wdowa bardzo głęboko przeżywała ten cios. Mówiono nawet, że nie przetrzyma psychicznie i pójdzie w ślad za małżonkiem, którego bardzo kochała i z którym spędziła ponad 25 lat spokojnego życia. Po pewnym czasie te przewidywania spełniły się: pani Hullet ciężko zaniemogła psychicznie i fizycznie, wpadła w depresję i coraz częściej zapraszała do siebie znanego w mieście doktora Adamsa, który za życia jej męża był ich zaufanym domowym lekarzem.

— Pięćdziesiąt lat — powiedział urzędnik — była w sile wieku.

— Czy ma pan ze sobą odpis aktu śmierci?

— Mam. Wynika z niego, że Hullet zmarła na wylew krwi do mózgu. Czy mam go panu zostawić?

— Proszę — odrzekł Walker i poczuł nagle niechęć do swego współpracownika. Sprawa śmierci pani Hullet stawała się ostatnio coraz głośniejsza i nie można się było wymigać od jej wyświetlenia. Walker spojrzał na odpis aktu — u dołu figurował podpis doktora Adamsa, jednego z najszanowniejszych obywateli Eastbourne, człowieka nieposzlakowanego, starego kawalera, wędkarza i pierwszorzędnego specjalisty. Doktor Adams był domowym lekarzem Walkerów.

Przez chwilę Walker wpatrywał się w podpis Adamsa, a potem wyjął cienką teczkę w zielonej oprawie. Otworzył ją i przerzucił kilka stronic gęsto zapisanego listu, do którego była przyczepiona koperta. Listów takich było kilka, każdy pisany inną ręką, dwa na maszynie.

Walker włożył odpis aktu śmierci do tej teczki, zamknął ją i włożył do biurka.

— No, cóż — powiedział oschle — trzeba będzie, choć to nieprzyjemne, zarządzić obdukcję zwłok. Niech pan przygotuje pisemko, ja podpiszę. Pojutrze o dziesiątej rano spotkamy się na... cmentarzu.

Teczka z listami

Gdy Conolly wyszedł, Walker wrócił do biurka i wyciągnął jeszcze raz zieloną teczkę. Otworzył ją powoli, przerzucił listy, odłożył na bok odpis aktu zgonu miss Hullet i wrócił do listu z czerwonymi podkreśleniami.

Decyzję o obdukcji ciała miss Hullet powziął Walker jeszcze wczoraj, gdy otrzymał właśnie ten list. Choć przyszło mu to niezmiernie trudno, poczucie obowiązku zwyciężyło. Walker dość długo jednak roztrząsał w swoim sumieniu krok, który miał zadecydować o Adamsie. Obdukcja zwłok znanej w całym mieście i szanowanej kobiety musiała wywołać rozgłos. Walker noc całą rozmyślał o skutkach swej decyzji, która — choć jeszcze nie nabrała mocy urzędowej — jutro będzie musiała się dokonać. Wszystko zależy teraz nie od niego, ale od biegłych lekarzy. A jeśli przy tym ucierpi dobre imię doktora Adamsa?

No cóż, zdarzają się omyłki u największych lekarzy, policja jest po to, by wykrywać przestępstwa, a winnych chwytać i przekazać sądowi. Listy, które leżały przed nim, zawierały wiele szczegółów, których nie można było od razu sprawdzić, ale które razem dawały wiele powodów do podejrzeń. Na razie wie o tym on, Paugh i ci, którzy pisali te listy. Walker nie zdawał sobie sprawy, że w całym mieście już dawno o tym się mówi, iż wersję o normalnej śmierci pani Hullet przyjęło z niedowierzaniem...

Jutro o dziewiątej wykopią ciało pani Hullet i zawiozą do prosektorium. Tam dokonają szczegółowej sekcji i zbadają powody śmierci. Z praktyki Walker wiedział, że tego rodzaju badania stanowią bardzo ważny dokument śledztwa i nieraz od nich zależy życie oskarżone-

go.

Walker znał kilka wypadków straszliwych omyłek biegłych, które skończyły się tragicznie dla oskarżonych. Tylko jeden raz udało się biegłemu uratować skazanego — i to trzykrotnie skazanego na śmierć...

Teczka, która leżała przed nim, zawierała potencjalną możliwość popełnienia takiej omyłki. Nawet jeśli Hullet popełniła samobójstwo — jakie to może mieć znaczenie dla sprawy? Doktor Adams wystawił świadectwo zgonu, podając jako powód „wylew krwi do mózgu”. I był obecny przy śmierci pani Hullet.

... ”Pani Hullet zapisała doktorowi Adamsowi 1000 funtów szterlingów w swoim testamencie. Pani Hullet czuła się ostatnio lepiej i wcale nie miała zamiaru popełnić samobójstwa. Pan Adams otruł swoją pacjentkę i wymusił na niej w testamencie ten zapis...”

Walker czytał te słowa już po raz dziesiąty i wpatrywał się w rękopis. Adams otruł ją. Doktor Adams, który jest stałym lekarzem domowym Walkerów, poważny starszy pan, miłośnik wędkarstwa i starych: książek — czy byłby zdolny do morderstwa?

... „Proszę bardzo sprawdzić świadectwa zgonów ostatnich wypadków śmierci pacjentów doktora Adamsa. Czy nie jest to dziwne, że w ostatnim czasie zmarło ponad dwudziestu czterech pacjentów pana Adamsa?”

Dwadzieścia cztery pacjentki? Walker zaczął sobie przypominać ostatnie wypadki śmierci.

Po chwili już wiedział, że nie będzie mógł dzisiaj spokojnie zjeść kolacji...

Kim był doktor Adams

Naczelnik Walker wiedział, że gdyby się to wszystko ograniczyło tylko do sekcji zwłok, byłoby pół biedy. Sędzia, który będzie przy tym asystował i który zadecyduje o dalszym losie Adamsa, może najwyżej wszcząć postępowanie dowodowe w przedmiocie mylnego wystawienia świadectwa zgonu. Może się również okazać, że trzeba będzie w ogóle sprawę umorzyć, bo sekcja zwłok potwierdzi diagnozę doktora Adamsa. Wtedy wszystko się rozejdzie po kościach i sprawa ucichnie.

Ale naczelnik wiedział, że nie ucichnie. Te listy anonimowe piszą zawiedzeni spadkobiercy pacjentek doktora Adamsa, które zapisywały w swych testamentach pokaźne sumy ulubionemu doktorowi, a krewnym i dalekim krewniakom kazały się zajmować pogrzebem, nie zapisując im często ani pensa. Listy te trafiają nie tylko do niego. Listy weszły do gazet, tygodników — lada dzień należy spodziewać się najazdu reporterów, a ci często zamieniają się w detektywów i wyłapują to, co w ogóle nie powinno przed rozprawą sądową ujrzeć światła dziennego.

Tak więc, jeśli sędzia zajmie się tylko sprawą sekcji zwłok... Ale jeszcze istnieją plotki, listy, podejrzenia i te wchodzą już w kompetencję inspektora Paugha z policji kryminalnej. Ten nie będzie próżnował. Od dawna marzy mu się awans. Sprawa doktora Adamsa — to dla niego nie lada gratka, czekał na nią od dawna.

— Jutro — pomyślał Walker — po obdukcji trzeba będzie wszystko przekazać Paughowi. niech się tym zajmie. Ja nie mam serca do tej sprawy i nie wierzę, by doktor Adams był zdolny do zbrodni.

Trzydzieści cztery lata mieszka i pracuje w Eastbourne doktor Adams. Urodzony w styczniu 1899 roku w Randalstown w północnym hrabstwie Antrim, doktor Adams był przedstawicielem tej grupy inteligencji angielskiej, której rodowód wywodził się ze średniego mieszczaństwa, zamieszkującego licznie małe miasteczka w północnej Anglii i którzy w trudzie po długoletnim oszczędzaniu i wielu wyrzeczeniach kształcą swoje dzieci i kupują na

starość domek. Ojciec Adamsa był przedsiębiorczym zegarmistrzem i sprzedawcą biżuterii; u schyłku życia okazał się praktycznym i umiejętnie prowadzącym swe interesy przedsiębiorcą. Matka Adamsa, z domu Bodkin, zajmowała się wychowywaniem dzieci i prowadzeniem obszernego gospodarstwa.

Walker tego nie pamięta, ale ojciec jego często widywał starego Adamsa jeżdżącego na chłopskiej furmance po wsiach z całym kramikiem i sprzedającego bogatym farmerom wyroby jubilerskie. Mieli dwóch synów — starszego Johna i młodszego Wiliamsa. W domu panował prawdziwie angielski, purytański duch, który stanowi dla reszty świata przedmiot częstych kpin i żartów, ale który w efekcie daje dobrze wychowanych, mężnych i czystych ludzi.

Od dzieciństwa John i Wiliams mieli wpojone, że nie należy pić ani palić — i nigdy nie widzieli wódki ani tytoniu we własnym domu. Temu zaleceniu obydwaj synowie pozostali wierni: ani John, ani Wiliams nie palą i nie piją. Stary Adams wychował ich w atmosferze moralnej czystości i w szacunku dla kobiety. Od dzieciństwa wpajano w nich zasady poszanowania cudzego życia i miłości do zwierząt. Natomiast obydwaj synowie znaleźli ucieczkę od tego nieco nudnego życia w pochłanianiu wielkiej ilości słodyczy i czekolad. Odbiło się to wkrótce na ich wyglądzie zewnętrznym, zwłaszcza, że John zaczął szybko tyć i w czasie kiedy opisywane są te zdarzenia, doktor Adams jest już otyłym człowiekiem, typowym Anglikiem średniego stanu.

Po skończeniu szkoły średniej, w której Adams wyróżnia się jako pilny i zdolny uczeń, wstępuje on na Wydział Medyczny Uniwersytetu w Belfast. Tu wykazuje cechy odziedziczone po matce i wykształcone przez długoletnie purytańskie wychowanie. Jest sumienny, pilny, punktualny i milczący. Nie unosi się, panuje nad sobą, uczy się bardzo dobrze, unika zabaw.

W 1921 roku kończy studia z odznaczeniem i pisze pracę doktorską, która znajduje uznanie u profesorskiego gremium. Rokują mu dobrą przyszłość, a jego koledzy zazdroszczą mu tego niebywałego uporu, z którym przez całe lata uczy się i pracuje nad sobą.

Na jednym z domów w Eastbourne ukazuje się szyldzik z jego nazwiskiem, poprzedzony tytułem „dr". Jak wszystkim młodym Anglikom nie śpieszno mu do małżeństwa; zamieszkał u swej matki. Niebawem umiera ojciec i odtąd gospodarstwo prowadzi matka, której pomaga daleka krewna, jakaś zubożała kuzynka. Po śmierci ojca matka otrzymała w spadku niewielką co prawda, ale znaczną dla niej sumę, którą odłożyła do banku. Syn zaczął praktykować przy starszym koledze i można było się spodziewać, że przyszłości jego nic nie zagraża.

Zawód lekarza prócz kwalifikacji ściśle naukowych wymaga jeszcze specjalnych cech osobistych, które stwarzają wokoło osoby medyka atmosferę, opinię. Lekarz opryskliwy nie może liczyć na powodzenie w Anglii, gdzie uprzejmość jest cechą narodową. Lekarz zarozumiały, dufny, zapatrzony w siebie wywołuje nieufność. Lekarz sknera lub skąpiec — choć są to cechy często występujące u Anglików — nie jest przez nich lubiany. Nie szanowany również jest lekarz niesumienny i szybko się o nim zaczyna mówić źle.

W kraju, gdzie powodzenie zależy od pieniędzy, osobiste cechy lekarza, jego sposób bycia, jego dom i jego obejście mają ogromne, jeśli nie decydujące nieraz znaczenie. Obiektywnie musiał Walker przyznać, że Adams posiadał wszystkie cechy ujmującego, pełnego pogody ducha lekarza, który samą swoją obecnością działał uspokajająco i kojąco na nerwy pacjentów. Zawsze mile uśmiechnięty, z dobrym słowem na ustach i spojrzeniem pełnym zrozumienia — Adams szybko zdobył sobie serca pacjentów, a zwłaszcza pacjentek Eastbourne. Doktor Adams należał do rzadkiego typu lekarzy, którzy wraz z wysokimi kwalifikacjami naukowymi i umiejętnością czerpania doświadczeń z codziennej praktyki łączyli osobisty urok i gotowość służenia o każdej porze dnia i nocy.

Miasteczko Eastbourne początkowo nieufnie przyjęło nowego lekarza. Ale po pewnym czasie okazało się, że młody Adams jest lekarzem z powołania. Jeszcze dziś pamiętają go starsi mieszkańcy tego miasta, gdy na swoim rozklekotanym motorowerze jeździł do pacjen-

tów, zawsze uczynny, uśmiechnięty, pewny siebie i swej misji — i stawiał prawidłowe diagnozy...

Doktor Adams staje się wkrótce lekarzem wielu poważnych mieszczan Eastbourne. Urzędnicy spensjonowani, dawni wojskowi, emeryci, wdowy i kupcy — oto jego stała klientela, wierna i oddana. Niewiele mija czasu od chwili powrotu Adamsa z uniwersytetu do Eastbourne, gdy przeprowadza się do lepszej dzielnicy. Naprzeciwko kościoła przy Alei Trinity Tress doktor Adams wraz z matką i kuzynką obejmuje piękny, w stylu wiktoriańskim zbudowany dom. Odtąd powodzenie ma zagwarantowane.

Doktor John Bodkin-Adams staje się powszechnie szanowanym człowiekiem w mieście, a jego praktyka rozszerza się coraz bardziej na wszystkie zamożniejsze warstwy Eastbourne. Do jego gabinetu śpieszą wszyscy. Pracuje po osiemnaście godzin dziennie. Nie daje sobie rady sam. Bierze do pomocy dwóch asystentów. Rosną dochody i wpływy, ale mimo to doktor Adams pozostaje takim, jakim był jego ojciec: jest dalej skromny i oszczędny. Nie pozwala sobie na żadne ekstrawagancje, pozostaje wegetarianinem — jakim był jego ojciec — i zdecydowanym abstynentem. Ubiera się skromnie i ktoś. kto go widzi na ulicy, nie odróżni go od przeciętnego Anglika.

W życiu miasta osoba doktora staje się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Jego osobiste sprawy nie są jednak skomplikowane i nie dostarczają tematów miejskim plotkarkom. Kobiety w jego życiu nie odgrywają większej roli. Nikt nie wie dokładnie, czy doktor Adams ma jakieś flirty czy romanse, jego jowialna postać i uśmiech, którym obdarza pacjentów, jego wewnętrzny spokój oraz uregulowane życie domowe obalają wszystkie podejrzenia. Kiedyś przed dwudziestu jeszcze laty, doktor Adams zaręczył się z panną Norą O'Hara, córką miejscowego masarza, ale wkrótce zaręczyny zostały zerwane i doktor pozostał kawalerem.

Z coraz większą siłą opanowuje go ulubione hobby. Jego pasją staje się fotografowanie, obejmuje więc kierownictwo Klubu Miłośników Fotografii. Lubi jeździć samochodem, kupuje sobie piękny wóz, niebawem ma już dwa: zwykły i luksusowy *Rolls-Royce*. Jest także myśliwym. Jego pasją jest strzelanie do dzikich ptaków. Gdy pytają go, jaką rolę odgrywa w jego życiu miłość, odpowiada:

— Przetopiłem wszystkie moje uczucia na miłość do pacjentów...

Dobrobyt doktora Adamsa rośnie, krąg pacjentów rozszerza się. Zwykłym samochodem jeździ do pacjentów, eleganckiego *Rolls-Royce'a* używa do spacerów, na dalekie polowania, na wyjazdy wędkarskie. Jego kariera obfituje w wiele szczęśliwych wypadków całkowitego wyleczenia pacjentów, pech lekarski omija go, chociaż — jak to zwykle bywa z każdym lekarzem — ma na swoim koncie niejedno zejście śmiertelne pacjenta, szczególnie pacjentek.

Walker przypomina sobie postać Adamsa, zna go przecież od lat; Adams leczy jego dzieci i żonę. Nie, to niemożliwe — myśli Walker — aby ten człowiek był zdolny do zbrodni,

Krąg podejrzeń zacieśnia się...

Nazajutrz o godzinie dziewiątej rano, przed cmentarz w Eastbourne zajechały dwa samochody wiozące członków komisji lekarskiej wraz ze świadkami i członkami sądu. Cichy, wąski cmentarzyk, położony w ustronnym parku, ocieniony pięknymi alejami, od czasu swego istnienia nie widział takiej ekspedycji. Grób pacjentki Adamsa otoczono płotem utworzonym z koców, a nad samym grobem zbudowano mały namiot. Cmentarz zamknięto, rozpoczęło się kopanie grobu.

Jak przewidywał Walker, choć zlecenie o dokonaniu ekshumacji zostało wydane w całkowitej tajemnicy, choć o tym wiedziało tylko kilka osób — wiadomość o tym szybko rozeszła się po mieście. I rzecz dziwna — mieszkańcy miasta przyjęli to jako szykanę wobec

ulubionego lekarza. W gazetach londyńskich ukazały się już pierwsze nagłówki: „Morderca wdów", „Lekarz-morderca".

Mimo to doktor Adams był wolny. Ekshumacje zaś zwłok, choć nie są codziennym zdarzeniem w takim Eastbourne, należą jednak do normalnych czynności sądowych przewidzianych przez prawo. Przed cmentarzem nie zebrał się jednak tłum ludzi, jak to zdarzało się gdzie indziej. W spokoju oczekiwano na wynik. Jeśli nawet diagnoza postawiona przez doktora Adamsa była mylna, to zawsze jest to tylko omyłka a nie zbrodnia. Pani Hullet mogła popełnić samobójstwo, ale doktor Adams nie mógł popełnić morderstwa — oto jaka była powszechna opinia miasteczka.

O tej opinii wiedział inspektor Paugh, ale wiedział jeszcze o czymś innym. Coraz częściej, mimo to coraz jawniej podawano w wątpliwość źródło szybkiego wzbogacenia się doktora Adamsa. Choć nie podnoszono tego publicznie, twierdzono jednak tu i ówdzie, że pacjentki, które przewidywały rychłą śmierć, zapisywały w swoich testamentach pokaźną sumę doktorowi Adamsowi. Twierdzono również, a to było już gorzej, że chociaż doktor Adams bezpośrednio nie wpływał na śmierć pacjentek, przyspieszał jednak ich zejście z tego świata, zwłaszcza gdy chodziło o starsze, bogate damy... Również o pani Hullet mówiono, że obdarowywała doktora Adamsa większymi sumami pieniężnymi, niewspółmiernie wysokimi w stosunku do pobieranych honorariów...

O tym wszystkim myślał inspektor Paugh, przyglądając się robocie grabarzy, którzy docierali już do trumny zmarłej Hullet. Niejasne przeczucia ogarniały inspektora. Ciężkie uderzenia łopat wyrzucających ziemię wzmagały jego niepokój. Wczorajsze gazety przyniosły alarmujące wiadomości o „mordercy wdów"...

Inspektor Paugh wiedział, do czego może doprowadzić histeria prasowa i do jakich wyczynów są zdolni dziennikarze w poszukiwaniu sensacji. W opinii miasta zaczynało się coś zmieniać w stosunku do doktora Adamsa, ale nie ma jeszcze żadnych powodów, by zastosować jakieś sankcje prawne. Nie obejdzie się bez pomocy Scotland Yardu — pomyślał Paugh i ciężko westchnął. Czeka go nieprzyjemna praca, zna doktora Adamsa już blisko 25 lat.

Inspektor oddalił się od miejsca ekshumacji, nie chcąc przypatrywać się wyciąganiu trumny.

Idzie aleją, na której widać świeże groby. Czy dojdzie do jednej jeszcze ekshumacji? W zielonej teczce leżącej na stole miał list w sprawie podejrzanej śmierci bogatej mieszkanki Eastbourne — Edith Morell, o której mówiono, że Adams przyśpieszył jej rozstanie się z tym światem. Leży tu jeszcze wiele innych kobiet, zmarłych w ostatnich latach, dziwnym trafem samotnych wdów...

Tak, trzeba natychmiast postarać się o pomoc Scotland Yardu, ta sprawa nie skończy się w Eastbourne — pomyślał Paugh i szybkim krokiem skierował się w stronę bramy cmentarnej. Rozkazał szoferowi zawieźć się do siedziby policji i stamtąd nadal szybko umowny telefonogram. Paugh postanowił nie wracać na cmentarz i zaczekać na odpowiedź Scotland Yardu. Prośba została uwzględniona, Scotland Yard przyśle jutro znakomitego detektywa. Sprawa jest już głośna w Londynie. Nadinspektor Herbert Hannam i sierżant Hewitt przybędą jutro do Scotland Eastbourne.

* * *

Doktor Adams zachowywał całkowity spokój. Widział jak wokoło niego krąg się zacieśnia, ale nie zmieniał swego trybu życia ani przyzwyczajeń. Jeździł dalej swym eleganckim *Rolls-Royce'm*, przyjmował chorych, polował, fotografował, łowił ryby... Gdy w mieście rozeszła się wieść o przybyciu Scotland Yardu, Adams wiedział, że nie uniknie z nimi spotkania. Czekał cierpliwie aż się sami zjawią. Był również spokojny o wynik ekshumacji — leczył długo panią Hullet.

Wieczorem, gdy wrócił do domu, kuzynka przyjęła go jak zawsze zatroskana i mimochodem powiedziała, że widziała jak wieźli trumnę Hullet do szpitala i że prawdopodobnie jutro rano albo pojutrze należy się spodziewać wyniku.

— Nie martw się — powiedział Adams — ja będę spał spokojnie.

Sekcja zwłok

21 sierpnia o dziewiątej rano doktor Adams otrzymał wezwanie, by zgodnie z prawem stawił się w siedzibie Rady Miejskiej Eastbourne, gdzie w obecności dziesięciu przysięgłych odbędzie się publiczne odczytanie protokołu ekshumacji, obdukcji, ustalające przyczyny zgonu pani Gertrudy Hullet.

Jak co dzień doktor Adams ubrał się w swój zwykły strój, w którym odwiedzał pacjentów. Ciemnoszary garnitur z kamizelką, sweter i staromodny krawat, chusteczka w górnej kieszonce i eleganckie półbuty. Wyprowadził swój *Rolls-Royce*, obejrzał go wzrokiem zapalonego automobilisty i ostrym zrywem ruszył w kierunku ratusza.

Gdy wszedł do sali posiedzeń, wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Przywitał się jak zwykle, uśmiech nie schodził z jego twarzy. Nie wiedział, kto dokonał obdukcji, dopiero teraz ujrzał dwóch nieznajomych osobników. W pierwszej chwili pomyślał, że są to lekarze. Przy stole sędziowskim siedział starszy pan, w którym doktor Adams poznał swojego dawnego wykładowcę, słynnego profesora kliniki w Belfast. Ukłonił mu się z szacunkiem i wytrzymał jego przenikliwy wzrok...

Sędzia asesor rozwinął przed sobą arkusz zaopatrzony w pieczątkę i podpisy dwóch lekarzy.

— Panowie przysięgli — zaczął donośnym, pewnym głosem — zebraliście się po to, by stwierdzić naocznie powody zgonu obywatelki naszego miasta miss Gertrudy Hullet, która — według świadectwa zgonu wystawionego przez jej lekarza domowego pana doktora Johna Bodkin-Adamsa, zmarła na wylew krwi do mózgu. Czy panowie zapoznali się z orzeczeniem prof. dra Beaverley?

— Tak jest — odpowiedział w imieniu wszystkich jeden z sędziów.

— Czy orzeczenie to zgodne jest z świadectwem zgonu wystawionym przez doktora Adamsa?

— Nie.

— Proszę o odczytanie protokołu sekcji zwłok.

Sekretarz podniósł się i monotonnym głosem zaczął odczytywać protokół z oględzin zwłok Gertrudy Hullet. Upstrzony terminami naukowymi, dokument ten stwierdzał w konkluzji, że Gertruda Hullet zmarła z powodu otrucia wywołanego zbyt silnymi dawkami proszków nasennych, dozowanych przez doktora Adamsa.

Na sali zaległa cisza.

— Proszę o odczytanie wyciągu z banku.

Asesor odłożył protokół sekcji i wyjął z teczki inny arkusz.

— Wyciąg z banku stwierdza, że na dzień przed śmiercią Gertrudy Hullet doktor Adams złożył w kasie banku przyśpieszony czek przelewowy na sumę 1000 funtów, które zostały przelane z konta zmarłej Hullet na konto doktora Adamsa.

Sekretarz usiadł. Doktor Adams milczał.

Przysięgli udali się na naradę, która trwała dziesięć minut. Po powrocie ogłosili werdykt, w którym stwierdzili co następuje:

„Doktor John Bodkin-Adams nadużył zaufania pacjentki i przekroczył ustanowione zwyczaje i codzienną praktyką obowiązki i w poważnym stopniu nie dopełnił obowiązków

lekarskich.”

„Po pierwsze: pozostawił do dyspozycji zmarłej Hullet większą ilość tabletek nasennych, czym umożliwił jej popełnienie samobójstwa przez otrucie, oraz nie sprawdził istotnego powodu jej śmierci i doszedł do fałszywej konkluzji podając jako powód wylew krwi do mózgu, co jest oczywistym błędem sztuki lekarskiej”.

„Przysięgli widzą w tym czynie jaskrawy dowód niedopełnienia obowiązków zawodowych, ale nie dopatrzyli się w jego postępowaniu zamierzonego zbrodniczego czynu, mającego na celu umyślne zgładzenie z tego świata zmarłej Gertrudy Hullet. W tym stanie rzeczy nie mogą uznać, że Hullet zmarła z powodu umyślnego otrucia jej przez doktora Adamsa”...

W kilka dni później doktor Adams wyjechał na odpoczynek do jednej z miejscowości nadmorskich w północnej Szkocji.

Mr. Hannam zaczyna działać

Nadinspektor Hannam, przystojny, wysoki i elegancko ubrany, uważany był przez swoich kolegów za świetnego detektywa. Miał w swej karierze kilka błyskotliwych sukcesów, które przysporzyły mu wiele sławy. Zawsze uśmiechnięty, mimo że przekroczył już dawno niebezpieczny wiek męski, zachował w pełni niezwykłą fizyczną kondycję i energię.

Gdy usłyszał werdykt przysięgłych w ratuszu, zrozumiał, że jego obecność może tu być wkrótce zbyteczna i że cała misja skończy się fiaskiem. W gazetach robiło się coraz głośniej o tajemniczym doktorze z Eastbourne, wielokrotnym mordercy, a tu dziesięciu masarzy, emerytów, urzędników pocztowych i notariuszy zwalnia go całkowicie z podejrzenia, stwarza sytuację, w której nie pozostaje nic innego jak podziękować inspektorowi Paughowi za zaproszenie do nadmorskiego uzdrowiska i wyjechać do Londynu... Nie, to nie przejdzie im tak sucho. Nie, nie znają jeszcze Hannama.

Szybko zabrał się do dzieła. Zadanie miał o tyle ułatwione, że doktor Adams był nieobecny. Wkrótce wokół Hannama zgrupowali się zawiedzeni spadkobiercy niektórych jego pacjentek i Hannam mógł z triumfem ogłosić, że spośród 21 pacjentek badanych i leczonych przez doktora Adamsa i zmarłych, każda zostawiła w testamencie jakąś większą sumę dla Adamsa. Hannam zdawał sobie sprawę, że samo to oświadczenie, choć obudziło niebywałą sensację w świecie dziennikarskim, nie stanowi jeszcze dowodów winy Adamsa. W Anglii bardzo często pacjenci zapisują w testamentach pokaźne sumy dla swoich lekarzy i nikogo to nie dziwi ani razi. Jest to rzecz ogólnie przyjęta. Zdarzają się wypadki zapisów testamentowych dla kamerdynera, dla służących a nawet na utrzymanie psów i kotów, a krewni nieraz są złośliwie pomijani wskutek jakichś zadawnionych urazów lub kłótni.

W ciągu trzydziestu czterech lat swojej praktyki doktor Adams otrzymał w spadku od swoich zmarłych pacjentów około czternaście tysięcy funtów szterlingów. Zapisy były dokonywane przy całkowitym zachowaniu formalności i przytomności umierających. Lecz Hannam wiedział, że w tej ogólnej histerii wytworzonej wokół osoby doktora Adamsa szczegóły te wywołują ogromne zainteresowanie, gdyż posądzony o umyślne spowodowanie zgonu swoich pacjentek lekarz z Eastbourne miał od razu tzw. nieprzychylną prasę, żądną coraz to nowych szczegółów.

I oto nadarza się wspaniała okazja. 13 października 1945 roku zmarła jedna z pacjentek doktora Adamsa, niejaka pani Edith Alice Moreli, która w chwili zgonu liczyła sobie 81 lat. Hannam długo oglądał fotografię zmarłej i dokumenty stwierdzające jej zgon i zauważył brak odpowiedzi na jedno z pytań. Tego samego dnia Hannam dowiaduje się, że doktor Adams wrócił z letniska w Szkocji i jest w domu. Hannam w swoim eleganckim garniturze przechadza się po schludnych i cichych ulicach Eastbourne. Choć jest już późna jesień, na ulicach

widać ciągle spóźnionych letników, którzy wolą tu spędzać miesiące jesienne niż lato.

— Trzydzieści cztery lata — myśli Hannam — pracował tu na jednym miejscu Adams i wysłał na tamten świat przynajmniej dwadzieścia starych wdów I panien... Robił to cicho, otoczony szacunkiem społeczeństwa, które się nie domyślało kogo ma wśród siebie...

Przypomniał sobie masowych morderców, którzy na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat wstrząsnęli opinią Anglii i, rzecz dziwna, wszyscy niemal jako miejsce swojej przestępczej działalności wybierali właśnie takie małe miejscowości letniskowe, położone z dala od wielkomiejskiego ruchu i udawali dżentelmenów, zdobywając zaufanie swoich ofiar i zgładzając je niepostrzeżenie...

Przypomniał sobie wielokrotnego mordercę Burkego, którego wykrył z pomocą Hewitta. Przez jedenaście lat udawał lekarza-dentystę. Wyjeżdżał co rok do New Jersey, brał na wspólne wycieczki bogate panie i po zgwałceniu wrzucał je do studni. Zawisł na szubienicy, ale ile to kosztowało trudów i czasu nim Hannam udowodnił, że elegancki lekarz-dentysta jeżdżący własnym *Mercedesem* jest wielokrotnym mordercą.

Jedna z jego ofiar, spadając do studni, zaczepiła o łańcuch, którego uchwyciła się w ostatniej chwili. Gdy wyciągnięto ją na wierzch i ocucono, tego samego wieczoru złożyła zeznanie o Burkem. Ach, to spotkanie później z Burkem, gdy on nie podejrzewając, że jego ofiara żyje, nagle ujrzał ją siedzącą w gabinecie przesłuchań...

Czyżby Adams, który robi wrażenie spokojnego, dobrze wychowanego dżentelmena, był zdolny do zbrodni?! Właśnie tacy — myśli Hannam — są zdolni do tego i mogą najlepiej prowadzić podwójne życie.

— Tak, jutro trzeba będzie zarządzić rewizję w domu Adamsa — postanawia Hannam.

Rewizja

Mieszkanie doktora Adamsa było umeblowane w charakterystycznym stylu. Hall, w którym czekali pacjenci, stanowił chyba najważniejszy element domu. Tu codziennie przychodzili pacjenci Adama od lat mu wierni i od lat przyzwyczajeni do tych samych chorób i tego samego lekarza. W obszernym hallu czekała ich zawsze pogodnie uśmiechnięta matka doktora, która witała znajomych pacjentów jej syna zawsze tym samym pytaniem o zdrowie.

Czekając na doktora, goście siadali wygodnie w fotelach ustawionych wokół kominka, brali ze stołu świeże tygodniki i zamieniali między sobą krótkie, urywane zdania. Ostatnie wydarzenia i plotki — o dziwo — zamiast zmniejszyć ilość pacjentów zwiększyły jeszcze bardziej praktykę doktora. Czy było to wynikiem dość powszechnego zainteresowania osobą doktora, czy też jawną manifestacją zaufania do jego uczciwości — trudno odgadnąć. W każdym razie dzwonek przy drzwiach domu na Kensington Avenue rozlegał się po południu częściej niż kiedykolwiek.

Domownicy nie byli zdziwieni zjawieniem się urzędników policji, którzy okazali zezwolenie na przeprowadzenie rewizji. Hannam miał teraz okazję by po raz pierwszy ujrzeć „zbója” w jego „jaskini”. Doktor Adams zachował niewzruszony spokój. Z pedanterią właściwą Anglikom wskazywał policjantom i agentom całe mieszkanie, a szczególnie gabinet i wszystko świadczyło o tym, że w domu nic nie zmieniono i nic nie poprzestawiano. Hannam rozesłał milicjantów i agentów do innych pokoi, sam został w gabinecie...

A więc tu przyjmował swoje stare pacjentki i tu dawał im truciznę do zażywania, tu mordował je i wymuszał od nich zapisy w testamentach... Hannam obejrzał gabinet, w którym, jak w całym mieszkaniu, stały staromodne, ciężkie meble. Całe urządzenie jak gdyby zdawało się mówić o życiu uczciwym i solidnym, o bogactwie powoli, ale stale rosnącym. Biurko stało w rogu koło okna, czyste, bez zbytecznych papierów, z dużą, ciężką lampą po

lewej stronie i małą maszyną do pisania. Hannam usiadł przy biurku i spojrzawszy na spokojnego Adamsa poprosił go o książkę recept.

Adams pośpiesznie wyjął z szuflady biurka obszerną księgę z pieczęcią i pokazał ją Hannamowi. Przerzucił szybko kilka stronic, przeczytał obojętnie kilkanaście nazwisk z postawionymi obok diagnozami i wyliczeniem wypisanych recept.

— Gdzie są kopie recept dla pani Edith Morell?

Przy każdej pozycji przyczepione były odpisy recept. Ponieważ recepty dotyczyły bardzo często środków nasennych i narkotyków, każdy lekarz w Anglii zachowuje sobie te odpisy dla ewentualnej kontroli.

— Edith Morell — wyszeptał Hannam i spojrzał na Adamsa.

Obok jej nazwiska była postawiona data ostatniej wizyty. Diagnozę wypisano po łacinie.

— Gdzie są odpisy lekarstw, które pan wypisywał dla Edith Morell? — powtórzył Hannam.

Adams nachylił się nad księgą, przewrócił stronę, potem drugą i widać było, że sam jest zdziwiony.

— Brak tych odpisów — odpowiedział — nie zachowuję wszystkich recept.

Hannam zamknął księgę i wstał. Teraz był pewien kogo ma przed sobą. Ale to było za mało, żeby go zaaresztować...

Adams milczy

19 grudnia doktor Adams — jak zawsze po dniu spędzonym na odwiedzinach swoich pacjentów — wrócił na obiad. Gdy wszedł do domu, przywitała go zatroskana matka, która bardzo ciężko przeżywała ostatnie wypadki i prawie nie wychodziła z domu. Doktor zdjął futro, powiesił je w przedpokoju i, jak zwykle, uśmiechnięty i pogodny wszedł do jadalni. Na stole stały już nakrycia dla trojga osób i doktor wiedział, że dzisiaj na obiad jest ulubiony przysmak — smażone grzybki.

Udał się do łazienki z przyjemnością wdychając zapach dobiegający z odległej kuchni. W czasie gdy mył ręce, matka doktora, stawiając na stole zakąskę, zauważyła, jak ciemny, niepozorny samochód zatrzymał się przed bramą. Tknięta niepokojem szybko wyszła z jadalni i zapukała do łazienki.

— John — powiedziała głośno — ktoś przyjechał do ciebie... jestem niespokojna... O tej porze... podczas obiadu... Zaczekaj, ja otworzę.

Rozległ się ostry głos dzwonka. To dzwonił ktoś, kto ma prawo rozkazywania — pomyślała matka i pobiegła otworzyć drzwi.

— Czy pan doktor Adams w domu?

— Tak jest — powiedziała matka — proszę zaczekać. Zaraz zawołam.

— Nie — powiedział Hannam — pójdziemy razem.

Weszli do korytarza wiodącego do pokojów mieszkalnych. W korytarzu obok drzwi do jadalni stał spokojny Adams, patrząc spod okularów na wchodzących. W tyle za Hannamem ujrzał inspektora Paugha i jeszcze jednego cywila.

— Mamy rozkaz aresztowania pana — oświadczył głośno Hannam — i zauważył, że z przyległego pokoju wyjrzała jakaś młoda kobieta z przestraszoną twarzą. To chyba jego kuzynka, nie było jej podczas rewizji — pomyślał Hannam — i dodał:

— Jest pan oskarżony o morderstwo.

— Morderstwo? — odpowiedział spokojnie Adams. — Nie wierzę, by pan mógł mi cokolwiek udowodnić...

— To się okaże, w każdym razie nie tutaj — odparł Hannam i w parę minut później doktor Adams żegnany płaczem matki schodził ze schodów swojej willi.

Gdy wsiadł do skromnego *Austona*, którym przyjechali agenci policji, odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na swój dom i na tych, których w nim zostawił.

— Mam nadzieję, że już pan tutaj nie wróci — powiedział z sarkazmem Hannam — to piękny domek...

— W Eastbourne są jeszcze piękniejsze — odparł Adams.

— Nie ma pan obowiązku cokolwiek zeznawać. — Jeśli pan jednak złoży zeznanie, będzie ono odczytane na rozprawie. Jak pan woli...

— Dobrze — powiedział Adams — będzie lepiej, jeśli nic nie będę mówił.

W celi śmierci

Niełatwe mieli zadanie sędziowie miasta Eastbourne, gdy przed ich obliczem stanął sprowadzony z aresztu municypalnego doktor Adams i przywitał ich jowialnym uśmiechem dobrodusznego wujaszka. Mieli oni bowiem zadecydować, czy dowody złożone przez policję wystarczają, aby przekazać podsądnego do dyspozycji sądu przysięgłych, czy też o jego losie ma stanowić w trybie zwyczajnym sędzia miasta Eastbourne. Pięciu sędziów pokoju miało los Adamsa w swoim ręku i zdawało sobie sprawę z ogromu znaczenia swojej decyzji. Oskarżenie o morderstwo oznaczało szubienicę — w Anglii jeszcze wtedy obowiązywała ustawa o karze śmierci za morderstw« zniesiona dopiero w 1958 roku.

Celę nr 23 w więzieniu Brighton w Londynie zajmowali więźniowie skazani na śmierć lub oczekujący na wyrok śmierci. Jest to słynna w całej Anglii cela. Stąd wychodzi się tylko w otoczeniu dwóch konstablów na podwórko więzienne — by zawisnąć na szubienicy. Z pobliskiego wzgórza wyraźnie widać podwórko więzienia, tam też najwięcej gromadziło się gapiów w dniu wykonywania wyroku.

Siedział tu Haigh, słynny morderca, który specjalizował się w mordach dokonywanych na gościach uzdrowiskowych. Siedział tu morderca Christie, koprofag i dusiciel młodych dziewcząt. Siedział tu również Levine, morderca żony i dziecka.

Nad tą celą mieści się sala sądowa, gdzie miał wkrótce stanąć doktor Adams. Umeblowanie celi nr 23 w Old Bailey składało się ze stołu, krzesła i pryczy.

Tymczasem w Londynie wrzało. Gazety londyńskie, za wyjątkiem „Daily Telegraph” były pełne opisów zbrodni. Celowały w tym szczególnie popołudniówki, które wychodzą w Londynie w milionowych nakładach.

Zbrodnia Adamsa przedostała się natychmiast do prasy światowej. Śmiało można stwierdzić, że nie było w owych dniach ani jednej gazety, która by nie pisała o mordercy wdów, o wymuszaniu na pacjentach zapisów testamentowych. „Morderca 21 wdów” — krzyczały tytuły dzienników. „Zabójca starszych pań” — powtarzały rozgłośnie. „Morderca 25 wdów” powiększały ilość zamordowanych gazety zagraniczne.

Doktor Adams został przedstawiony światu jako symbol skrytej i cynicznej zbrodni, jako typ inteligentnego mordercy wytrwale i z premedytacją traktującego swoje przekwitłe pacjentki jako źródło stale zwiększającego się majątku. Codziennie ukazywały się w popołudniowych gazetach nowe szczegóły zbrodni, ilość jego ofiar zwiększyła się, lista świadków zeznających o przewrotnym lekarzu stawała się coraz obszerniejsza...

John Bodkin-Adams siedział tymczasem w więzieniu i robił wrażenie człowieka, który przez pomyłkę zmienił miejsce zamieszkania i otrzymawszy zły pokój w hotelu jest zdziwiony, ale nie śmie protestować. Z celi wionął odór śmierci — ale do tej przecież, jako lekarz, Adams był przyzwyczajony. Stosunek personelu więziennego do niego był chłodny i uprzej-

my — zazwyczaj tak traktuje się w więzieniach angielskich więźniów przewidzianych na szubienicę. Adams czytał książki i czekał na rozprawę.

Nie otrzymywał żadnych gazet. Nie dopuszczono do niego nikogo z zewnątrz. Jego stały adwokat z Eastbourne zwrócił się do byłego królewskiego prokuratora i przedstawiciela Anglii na procesie norymberskim, sir Harthley Shawcrossa, aby zechciał objąć obronę w jego sprawie. Doktor Adams cierpliwie oczekiwał odpowiedzi i sam był zdumiony, że w jego sprawie ma wystąpić tak znakomity i sławny obrońca.

O godzinie piątej wieczorem odwiedził go stały adwokat i oznajmił, że sir Shawcross, były generalny obrońca i przedstawiciel Anglii na procesie w Norymberdze, odmówił przyjęcia jego sprawy i bronić go nie będzie.

Doktor Adams postanowił milczeć.

Proces się zaczyna

W tym stanie rzeczy jego obrońca nie czuł się na siłach dalej prowadzić tę sprawę. Hałas rozszalały wokół doktora Adamsa i nieprzychylne ustosunkowanie się do niego publiczności i prasy, a może i sędziów, wysoce utrudniało prowadzenie obrony. Zresztą był to skromny, niepozorny adwokacik z prowincjonalnego miasteczka, przywykły do małych spraw ubezpieczeniowych czy zatargów, dla którego sprawa Adamsa urosła do niebywałych rozmiarów i przerosła jego możliwości oratorskie.

Adams przyjął odmowę sir Shawcrossa spokojnie. Odbył naradę ze swoim obrońcą i postanowili przejrzeć listę adwokatów, którzy byli wówczas do rozporządzenia i którzy wyrazili chęć prowadzenia tej sprawy. Wybór padł na skromnego i zupełnie nieznanego w palestrze angielskiej pięćdziesięciopięcioletniego adwokata o nazwisku Geoffrey Lawrence... Był to specjalista w sprawach rozwodowych, znający tajemnice niejednej sypialni londyńskiej socjety, ale pracujący raczej na marginesie wielkich spraw i lubiący pozostawać w cieniu.

Procesy rozwodowe w Anglii są bardzo rozpowszechnione i orzeczenia o rozwodzie opierane są wyłącznie na dostarczonych sądowi dowodach zdrady jednego z małżonków. Nie wystarczy oświadczenie stron, że nawzajem się zdradzały — sąd musi otrzymać niezbite dowody winy, takie jak zaprzysiężone zeznania naocznych świadków, którzy przyłapali jedną ze stron *in flagranti*, fotografie, analizę lekarską.

Lawrence, jak nikt inny, był pierwszorzędnie predysponowany do prowadzenia sprawy Adamsa. Otrzaskany z tajnikami skandalicznych spraw, doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia zeznań świadków, orientował się bezbłędnie w procesie gromadzenia materiału obciążającego i znał znakomicie psychologię świadków, roztargnienie prokuratorów, niedokładność dowodów dostarczonych przez policję, której niejednokrotnie nie udaje się przed sądem udowodnić winy oskarżonego.

Gdy zjawił się pierwszy raz u Adamsa, zaczął od zasadniczego pytania:

— Panie doktorze, czy prowadził pan dzienniki chorób swoich pacjentek?

— Tak — odpowiedział bez wahania Adams — są w szpitalu.

— Czy przed panem leczył ktoś pańskie pacjentki?

— Tak odpowiedział doktor Adams. — Każda z nich była uprzednio leczona przez innego lekarza. U mnie się zjawiła, kiedy było już bardzo źle.

— Nic mi więcej nie potrzeba — odparł adwokat Lawrence — gotów jestem objąć pańską obronę.

— Czy mam dalej milczeć?...

— Tak — odrzekł po namyśle Lawrence — tak będzie najlepiej. Mam nadzieję, że pan stąd wyjdzie.

— I ja również — odrzekł Adams, więzień celi śmierci. — Tu jest bardzo niewygodnie, jak pan widzi...

Adams milczy dalej

Wbrew hipotezom stawianym przez nie zawsze przewidujących sprawozdawców i reporterów, nie udało się prokuraturze królewskiej zestawić aktu oskarżenia przeciwko Adamsowi, tak jakby to odpowiadało życzeniu i fantazji zawodowych łowców sensacji. Choć gazety prześcigały się nawzajem w opisywaniu rozlicznych zbrodni doktora Adamsa i choć przylgnął do niego na zawsze przydomek „mordercy wdów”, prokurator królewski Stevenson ledwie zdołał jako tako prawnie uzasadnić oskarżenie o trzykrotne morderstwo.

I oto zbliża się dzień rozprawy. Sąd w komplecie. Publiczność składająca się przede wszystkim z ogromnej ilości przedstawicieli prasy angielskiej i światowej, żądnej sensacji publiczności i dam z najwyższych sfer — zajęła wszystkie wolne miejsca.

— Oskarżony doktor John Bodkin-Adams — rozpoczął sędzia. — Jest pan oskarżony o rozmyślne morderstwo dokonane na osobach obywateli miasta Eastbourne: małżeństwa Hullet i pani Alice Morell, przy pomocy rozmyślnie dawkowanych lekarstw, które w konsekwencji doprowadziły do śmiertelnego otrucia. Ma pan teraz okazję, by pod przysięgą zeznać w tej sprawie i przedstawić sądowi swoich świadków. Chciałbym jednak zapytać, czy ma pan coś przeciwko aktowi oskarżenia i czy chce pan złożyć sprzeciw. Nie musi pan nic mówić, jeśli pan sobie tego życzy. Jeśli wymuszono na panu cokolwiek, jeśli grożono, nie musi się pan nikogo obawiać. To co pan teraz oświadczy lub zezna, będzie wciągnięte do protokołu i może służyć jako dowód podczas przewodu sądowego. Czy chce pan złożyć sprzeciw w stosunku do oskarżenia?

Adams czuł, że w tej chwili decyduje się jego los. Jeśli zgodzi się na zeznania, będzie traktowany w procesie jak jedna ze stron, która podlega normalnej procedurze sądowej i może być wzięta w krzyżowy ogień pytań prokuratora. Jeśli nic nie powie, nic nie traci. Będzie przysłuchiwał się rozprawie.

Doktor Adams wstał i oświadczył zgodnie z obowiązującym rytuałem formułę obrony przy pomocy milczenia:

— Oświadczam, że jestem niewinny. Obrona występuje w moim imieniu i nie wzywam żadnych świadków.

Oświadczenie to, zupełnie nieoczekiwane przez prokuratora i sąd, wprowadziło w ogromne zdumienie wszystkich zebranych, gdyż spodziewano się powszechnie, że Adams złoży obszerne zeznanie, że będzie mówił w swojej obronie i że będzie udowadniał przed sądem swoją niewinność i przedstawi istotne powody śmierci swoich pacjentów. Zaległo ponure milczenie.

Tego dnia ukazały się dodatki nadzwyczajnych gazet popołudniowych. Potężne tytuły rzucały się każdemu przechodniowi w oczy. Taktyka doktora Adamsa wywołała poruszenie w sferach londyńskiej palestry. Wróżono mu pewny stryczek, choć milczenie oskarżonego jest częstym zjawiskiem w sądach angielskich. Z ogromnym zniecierpliwieniem oczekiwano na przemówienie królewskiego prokuratora sir Reginalda Maningham Batlera.

Gdy podniósł się ze swego miejsca, oczy wszystkich skierowały się w stronę Adamsa.

Siedział nieporuszony, z uśmiechem na ustach: palec prawej ręki włożył w kieszeń kamizelki. Zdawało się, że nic go nie może wzruszyć...

Sądny dzień

W 123 dni po zaaresztowaniu — termin to dość długi w sądownictwie angielskim — rozpoczął się proces. Prokurator w dniu otwarcia przewodu sądowego miał do dyspozycji materiał dowodowy dostarczony mu przez Hannama, zeznania świadków (szczególnie sióstr szpitalnych), przychylną prasę, dobrotliwie uśmiechniętą twarz Adamsa i jego ulegalizowane milczenie.

To milczenie pozbawiło prokuratora najważniejszego argumentu w czasie rozprawy — uniemożliwiało bowiem zadawanie oskarżonemu pytań i traktowanie go na równi z każdym innym świadkiem Oskarżony na procesie przez cały czas wpatrywał się w prokuratora, który musiał się ograniczyć do oskarżenia o morderstwo tylko trzech osób, a nie jak prasa bębniła — „21 wdów”.

Prokurator więc powtórzył niemal to wszystko, co było już znane z prasy. Wyjaśnił tylko bliżej metod trucia pacjentek przez Adamsa. Dawał im zastrzyk morfiny i heroiny, a gdy widział, że stan pacjentek jest beznadziejny, zwiększał zastrzyki i powodował szybką śmierć. Na długo przed śmiercią nie omieszkał wymusić na pacjentkach odpowiednie zapisy testamentowe, które dosięgały wysokości od dwustu do kilku tysięcy funtów. Za te trzy morderstwa z premedytacją domagał się kary śmierci dla Adamsa.

* * *

Głównym świadkiem oskarżenia była siostra szpitalna Helen Rosa Stronach. To ona asystowała przy wszystkich czynnościach doktora Adamsa, to ona znała dokładnie przebieg choroby, to ona pilnowała chorą aż do tragicznego końca, to ona pamięta dawki morfiny i heroiny przepisane jej przez doktora, to ona sama zresztą zastrzykiwała te dawki. To ona wiedziała co pod maską obrażonego honoru ukrywa przed sądem Adams.

I na jej zeznaniach prokurator oparł akt oskarżenia. Jej pojawienie się na sali sądowej miało zadecydować o życiu doktora Adamsa. W dniu, w którym wyznaczono przesłuchanie siostry Helen Rose Stronach, ogromne tłumy zebrały się przed gmachem sądu w Old Bailey. Sala była przepełniona. Wejścia do sądu pilnowali strażnicy. Ogromna kolejka stała przed gmachem sądu i czekała na wieści z sali.

Wreszcie o godzinie jedenastej rano przyjechała do sądu Stronach, która stale, w towarzystwie dwóch sióstr, również świadków, jeździła na rozprawę z Eastbourne do Londynu.

Helen Rosa Stronach — wbrew wyobrażeniom większości mężczyzn o elegancji kobiet angielskich — ubrana była skromnie i raczej bez gustu. Przeciętna twarz pielęgniarki we wszystkich szpitalach świata, prócz chyba wojskowych, gdzie zawsze pracują przystojne, ładne siostry.

W wieku, który trudno określić, pewna siebie i wyraźnie pochlebiona hałasem wytworzonym wokół jej osoby, weszła do sądu z zażenowanym uśmiechem kobiety nieprzywykłej do ciekawskich spojrzeń i szeptów tłumu.

Gdy stanęła przed pulpitem dla świadków, sala zamarła w oczekiwaniu. Zarumieniła się wyraźnie, gdy spotkała się z badawczym, choć lekko ironicznym wzrokiem doktora Adamsa, ale się opanowała. Jeździła codziennie na rozprawę z dalekiego Eastbourne i dziś pierwszy raz stanęła blisko „mordercy wdów”.

— Czy pamięta pani dokładnie wszystkie szczegóły śmierci pani Morell? — spytał adwokat.

— Tak, pamiętam dokładnie.

— Kiedy zmarła pani Morell?

— Sześć lat temu.

— Czy pamięta pani również dzień jej śmierci?
— Tak, opisywałam to dokładnie w zeznaniach złożonych w śledztwie.
— Czy podtrzymuje je pani nadal?
— Całkowicie, bez żadnych zmian.
— Czy dawała pani pacjentce morfinę przepisaną przez doktora ?
— Tak. dawałam.
— W jakiej ilości?
— Dawałam zależnie od okazji i polecenia zastrzyki z morfiny w ilości ¼ grama.
— Czy prócz pani jeszcze ktoś dawał zastrzyki morfiny?
— Tak.
— Kto?
— Doktor Adams.
— Kiedy?
— Kiedy mnie nie było w pokoju chorej.
— Skąd pani wie o tym?
— Widziałam to z zachowania się chorej.
— Jaki był przebieg ostatniego dnia choroby pani Morell?
— Chora czuła się bardzo źle i po zastrzyku zapadła w sen. który zakończył się śmiertelnym zejściem,
— Czy tego dnia coś jadła?
— Nie.
— Piła?
— Nie, spała cały dzień, nieprzytomna...

Na sali zaległa denerwująca cisza. Wszystkie spojrzenia były skierowane na doktora Adamsa, który siedział nieporuszony i nie zdradzał zakłopotania. Przypatrywał się tylko uważnie swej niedawnej współpracowniczce i czekał na dalsze jej odpowiedzi. Prokurator triumfował. Adwokat Lawrence uśmiechał się nadal — i ruszył do generalnego ataku na świadka.

— Czy świadek prowadził dziennik choroby pani Morell?
— Tak jest. To należy do obowiązków siostry.
— Czy zapisane są tam wszystkie czynności świadka?
— Wszystkie.
— Dokładnie? Aż do ostatniego dnia życia pani Moreli?
— Aż do ostatniego dnia.
— Czy zapiski w tym dzienniku są zgodne z tym, co pani mówiła w śledztwie?
— Naturalnie.
— I z tym co pani mówi teraz?
— Oczywiście.
— Czy jest pani tego pewna?
— Ależ całkowicie!

Stronach spojrzała z obrażoną miną na prokuratora, jak gdyby prosząc go o obronę przed natrętnymi pytaniami.

— Proszę wysokiego sądu o zaprotokołowanie ostatnich słów świadka — zakończył rzeczowo obrońca. W kącikach ust drgał ledwo widoczny ironiczny uśmiech...

Nachylił się ku wielkiej, skórzanej teczce leżącej na ławce i zaczął ją otwierać. Na sali panowała śmiertelna cisza. Stronach chciała już odejść, ale jak zahipnotyzowana patrzyła na to co adwokat robi. Powoli Lawrence otworzył tekę i zaczął wyjmować jeden za drugim zeszyty w pomarańczowej oprawie.

Gdy Stronach zobaczyła zeszyty, zachwiała się, oparła się o pulpit i omal nie zemdlała... Tymczasem adwokat spokojnie i chłodno wyjął drugi zeszyt, potem trzeci, czwarty i piąty... Zeszytów było siedem. W różnokolorowej oprawie. Były to autentyczne dzienniki choroby

pani Morell pisane ręką świadka...

Wrażenie było piorunujące. Rozszedł się szmer podziwu i uznania dla obrońcy.

Prokurator w niemym zdumieniu spoglądał na Lawrence'a wyjmującego zeszyty. Stronach ledwie stała na nogach...

Spokojnym głosem Lawrence odczytał przebieg ostatniego dnia choroby Morell. W dniu tym, zgodnie z zapiskami dziennika Stronach — chora zjadła kurę w rosole, wypiła do tego sporo whisky z sodą i w ogóle była przytomna, w dobrym nastroju, i spała...

Lecz prokurator nie dał za wygraną. Przypomniał, że drugi świadek, siostra Cranach oświadczyła, że tego dnia dała na polecenie doktora Adamsa większy zastrzyk morfiny pani Morell...

Jak skamieniała podeszła Cranach do ławy świadków. Nim cokolwiek powiedziała, Lawrence na podstawie dziennika prowadzonego przez obydwie pielęgniarki udowodnił, że w dzienniku nie ma ani zdania o jakimś zastrzyku, który rzekomo miała dać siostra Cranach...

Cranach stała przed sądem cała w rumieńcach.

Runda była wygrana. Prokurator ciężko usiadł i zamknął akt oskarżenia...

Sędzia Derlich z uznaniem patrzył na Lawrence'a.

Świadkowie się rumienią

Wrażenie niespodzianki przygotowanej przez obrońcę Adamsa było piorunujące. Upadły zeznania głównego świadka oskarżenia. Lecz dane jej było jeszcze przeżyć jedną porażkę, tym razem już z arsenału tych sposobów, które umieją stosować tylko wytrawni specjaliści od rozwodów.

Według prawa angielskiego świadkowie składają przysięgę, że nie będą się wzajemnie porozumiewać przed rozprawą i w czasie jej trwania oraz że nie wejdą w zmowę dla wzajemnego uzgadniania zeznań. Mają mówić tylko prawdę i tylko prawdę sobie wiadomą Prawo to rzadko jest łamane w Anglii i świadek, który dopuszcza się złamania słowa danego sędziemu i wbrew zaleceniom sądu porozumiewa się innymi świadkami — przestaje się liczyć w sądzie i później w towarzystwie.

Od pierwszego dnia rozprawy adwokat Lawrence podejrzewał, że siostry szpitalne, powołane jako świadkowie w tym procesie, złamały słowo dane sądowi i składają zeznania niezgodne w szczegółach. I oto Lawrence robi to. co zwykł nieraz czynić jako obrońca sądowy w sprawach rozwodowych. Wynajmuje cywilnego detektywa, który śledzi siostry szpitalne jadące z Eastbourne na rozprawę do Londynu.

Zeznania tego świadka są rewelacyjne. W ciągu kilku dni świadek obserwował wszystkie siostry — świadków oskarżenia (a było ich trzy) jak zbierają się na stacji i razem omawiają sprawę. Ostatniego dnia siostry umówiły się, że nie będą zeznawać prawdy w obawie, by jedna drugą nie wsypała sprzecznymi zeznaniami...

Oświadczenie detektywa definitywnie skompromitowało wartość sióstr jako świadków oskarżenia. Był to drugi, dotkliwy cios zadany prokuratorowi.

Przed sądem stanął jeden z najmocniejszych filarów oskarżenia. Był to profesor uniwersytetu i dyrektor kliniki, wybitny uczony i specjalista od stosowania morfiny i heroiny, doktor Artur Henry Douthwaite. W chwili gdy zaczął zeznawać, poszlaki wokół doktora Adamsa zmniejszyły się. ale oto nowe podejrzenia skierowały się przeciw niemu.

Autorytatywnym tonem, nie znoszącym sprzeciwu naukowiec stwierdził, że na podstawie zbadanej przez niego historii choroby pani Morell oraz na podstawie receptur i sposobu leczenia stasowanego przez doktora Adamsa, można z całą pewnością twierdzić, że doktor Adams miał na myśli tylko jeden cel: — morderstwo z premedytacją.

Na chwilę przez salę sądową przemknął znowu cień śmierci. Jeśli zeznania świadka, skromnej pielęgniarki, okazały się bezpodstawne, słowa sławnego profesora padały w sali sądowej jak ciężkie krop ołowiu. Publiczność pomyślała: „A jednak doktor Adams to morderca...”

W ciszy zaległej na sali rozległ się znowu lekki ironiczny głos obrońcy.

— Czy pan profesor zapoznał się dokładnie z historią choroby pani Morell?

— Oczywiście.

— Czy zbadał pan wszystkie dokumenty związali z przebiegiem jej choroby?

— Ależ naturalnie, to należało do moich obowiązków.

— Czy podtrzymuje pan nadal swoje zeznania, doktor Adams działał z premedytacją i stosując opisany i zanalizowany sposób leczenia postępował jak zimny morderca, działający rozmyślnie i z planem przygotowujący mord dla osobistych korzyści?

— Tak. Stwierdzam to stanowczo.

Gdy adwokat Lawrence nachylił się nad swoim skórzanym kuferkiem, leżącym na ławie obrony spojrzenia wszystkich obecnych, pełne oczekiwania skierowały się w jego stronę. Z tylnych ławek ludzie wstali, by zobaczyć co się teraz stanie. I oto Lawrence otwiera kuferek, przerzuca jakieś szpargałki i ku zdumieniu sędziów przysięgłych: sędziego Berlina, profesora Hawthornesa i ku przerażeniu prokuratora — wyciąga dokument i odczytuje go głośno.

Jest to wypis z miejskiego szpitala, w którym chora Morell w 1948 roku leczyła się pod opieką lekarza szpitalnego doktora Turnera, który po wypadku ataku sercowego pani Morell zastosował dokładnie taki sam sposób leczenia i dawkowania środków nasennych, jaki w cztery lata później zastosował doktor Adams... Odczytawszy ten urzędowy dokument Lawrence spokojnie położył go na stole sędziowskim i z ironicznym uśmiechem zwrócił się do prokuratora Hawthornesa z zapytaniem:

— Czy w świetle tego dokumentu należy doktora Turnera również uznać za mordercę z premedytacją?

Chwila wahania — i profesor Douthwaite odpowiada:

— Tak, to jest również morderca...

Na sali rozległ się ironiczny śmiech. Przysięgli również dyskretnie się uśmiechali...

Profesor mógł się wycofać ze swoich zeznań. Ale utraciły one swoją wartość.

Świadkowie tańczą

Jednego tylko świadka powołała obrona i ten świadek skompromitował się nie gorzej niż poprzednik jego; profesor Hawthornes.

Świadek ten — to również słynny profesor i specjalista do stosowania środków nasennych i pobudzających — doktor John Harmann. Oto gratka dla prokuratora. Dotychczas bowiem nie mógł on zadać ani jednego pytania obronie. Adams milczał, świadków nie ma. obrona działa sama... Nareszcie więc przychodzi chwila zemsty.

Doktor Harmann podtrzymuje bowiem przed sądem tezę, że pani Morell zmarła śmiercią naturalną. I ze względu na wiek, i ze względu na brak objawów charakterystycznych dla otrucia środkami narkotyzującymi...

— Czy świadek dokładnie zbadał przebieg choroby i śmierć pani Morell? — zapytuje prokurator.

— Tak jest.

— Czy świadek dalej twierdzi, że okoliczności, wśród których zmarła pani Morell, mogą nasunąć myśl o śmierci naturalnej?

— Naturalnie.

— Czy również ścisłe objawy fizjologiczne towarzyszące naturalnemu zejściu były typowe i w wypadku pani Moreli?

— Tak wynika z dziennika choroby...

— A jakie są objawy agonii przy otruciu narkotykami, takimi jak morfina i heroina?

— Pan prokurator wspomniał o tym w swoimi przemówieniu.

— Jednak pan, jako znawca tych spraw, orientuje się chyba lepiej.

— Otruty przy pomocy morfiny lub heroiny umiera w drgawkach i ostrych konwulsjach przypominających taniec derwiszów. O tak.

I tu stała się rzecz niezwykła. Doktor Harmann! wyszedł spoza podium dla świadków, stanął przed przysięgłymi i zrobił kilka konwulsyjnych ruchów nogami i rękami, pokazując. że tak właśnie umierają otruci przy pomocy morfiny i heroiny. Sędziowie uważnie przypatrywali się tańczącemu w konwulsjach profesorowi, a publiczność miała nie lada uciechę. Gdy doktor Harmann skończył i zadowolony wrócił na swoje miejsce, padło powoli cedzone pytanie prokuratora:

— A czy pan doktor widział kiedyś takie ruchy umierających?

Chwila ciszy. Harmann jest zbity z tropu.

— Nie.

— Więc pana przypuszczenia o tym, jak umiera człowiek otruty, oparte są na tym, co pan doktor czytał o takich wypadkach?

Chwila ciszy. Harmann jest czerwony jak burak. Wreszcie przyznaje się.

— Tak.

Obrońca siada i łapie na sobie ironiczne spojrzenie prokuratora. Przysięgli uśmiechają się. Sędzia Derlich zwalnia świadka z dalszych zeznań. I Adams milczy.

Świadek mówi tak i nie...

Jeszcze jeden lekarz stanie przed sądem i jego wystąpienie oczekiwane jest z napięciem. Doktor Ashby jest świadkiem oskarżenia, choć nie popiera całkowicie wywodów prokuratora.

Świadka biorą w krzyżowy ogień pytań i prokurator, i obrońca. Sędzia — zgodnie ze zwyczajami w angielskim sądzie — zachowuje absolutną neutralność, nie kieruje pytaniami i pozwala na swobodną wymianę zdań między adwokatem, prokuratorem i lekarzem.

Prokurator: Czy pan dopuszcza możliwość śmierci naturalnej?

Ashby: Jest to zupełnie możliwe.

Obrońca: Możliwe czy prawdopodobne?

Ashby: Pani Morell liczyła 81 lat. Mogła umrzeć śmiercią naturalną.

Prokurator: To jest bezpośredni powód śmierci. Ale co było przyczyną zgonu według pana doktora?

Ashby: Dawki morfiny i heroiny w ostatnich sześciu dniach przed śmiercią.

Obrońca: A więc mogła pani Moreli umrzeć śmiercią naturalną i mogła umrzeć z powodu dawek?

Ashby: Umarła w wieku, w którym śmierć naturalna nie jest rzadkością, choć na jej śmierć wpłynęło silne dawkowanie morfiny i heroiny...

Prokurator: Czy doktor Adams dawał te dawki zgodnie z przepisami leczenia?

Ashby: To zależne jest od organizmu chorego. Jednak dawki te mogły spowodować śmierć.

Obrońca: Czy sądzi pan. że doktor Adams rozmyślnie dawał pacjentce te dawki, aby ją otruć?

Ashby: Jest możliwe, że w ostatnim dniu prze śmiercią. doktor Adams przekonany o jej

bliskiej śmierci, powiększył jej dawki. aby ulżyć jej cierpieniom i pozwolić jej umrzeć bez męczarni.

Prokurator: Czyli zamordował świadomie pacjentkę.

Ashby: Umożliwił jej spokojniejszą śmierć.

Obrońca: Chora umarłaby i tak tego dnia?

Ashby: Bardzo możliwe.

Prokurator: Ale mogła jeszcze żyć do dzisiaj?

Ashby: I to jest możliwe.

Prokurator: Więc pan doktor uważa, że Adams za mordował pacjentkę?

Ashby: Wiedząc, że ma umrzeć, ulżył jej ostatnim cierpieniom.

Obrońca: Skąd pan doktor wie, że Adams wiedział, iż ona umrze?

Ashby: Tak przypuszczam.

Obrońca: Mógł również nie wiedzieć?

Ashby: Mógł nie wiedzieć.

Prokurator: Więc morfina i heroina spowodowały jej śmierć?

Ashby: Prawdopodobnie.

Obrońca: Prawdopodobnie czy na pewno?

Ashby: Możliwe, że na pewno.

Obrońca: Nie mam więcej pytań.

Sędzia ma głos ostatni...

— Milczenie doktora Adamsa nie ma żadnego znaczenia dla sprawy i dla ustalenia stopnia winy oskarżonego — rozpoczął swe końcowe przemówienie sędzia Derlich. — Zwracam na to uwagę sędziom przysięgłym jeszcze raz i z całym naciskiem podkreślam, że jest to prawo każdego Anglika, każdego oskarżonego stojącego przed sądem angielskim — zachować milczenie w swojej sprawie i nie pozwolić uczynić z siebie ofiary krzyżowego ognia pytań prokuratora.

— „Jeśli ktoś milczy — zgadza się" — głosi łacińskie przysłowie, lecz nie znajduje ono żadnego zastosowania w naszym prawie. Jeśli sąd winy nie wykaże, nie potrzebuje oskarżony udowadniać, że jest niewinny. Prokurator nie może w swoim oskarżeniu powoływać się na to, że oskarżony milczy. To nie ma żadnego znaczenia. — Sędziowie, którzy wydacie wyrok, nie opierajcie swego zdania na tym. że oskarżony milczy. Doktor Adams korzysta z prawa przysługującego w sądzie każdemu Anglikowi.

— Oczywiście, każda ze stron mogłaby sobie życzyć, żeby oskarżony mówił i swoimi zeznaniami bronił albo pogrążył siebie. Życzyliby sobie tego chyba i obrona, i prokurator. Ale to życzenie nie obowiązuje oskarżonego Adamsa, gdyż doktor Adams ma prawo nie figurować jako świadek w sądzie. Ma prawo nie być przesłuchiwanym. Ma prawo odmówić zeznań. Mam nadzieję — mówi głośno sędzia Derlich — że prawo do milczenia nie zostanie nigdy żadnemu Anglikowi stojącemu przed sądem odebrane. Jest to bowiem naturalne prawo każdego podsądnego — własnym językiem nie spowodować zasądzenia. Sądzić musimy my i tylko my możemy udowodnić jego winę. Przestrzegaliśmy ściśle tego postępowania aż do samego końca procesu i oskarżony miał prawo milczeć aż do końca.

— „Nie stawiajcie mi żadnych pytań. Ja na żadne nie odpowiem. Udowodnijcie mi swoją rację!" Tak jest! Udowodnijcie mu naszą rację! Nikt nie może twierdzić, że prokurator królewski nie miał podstaw, aby wszcząć rozprawę sadową przeciwko doktorowi Adamsowi. Z zeznań aptekarza wynika, że w ostatnich sześciu dniach przed śmiercią pani Morell doktor Adams pozwolił sobie wypisać receptę dla pani Morell w ilości 40.5 gramów morfiny i 39

gramów heroiny. Ale połowa tej ilości nie była pani Morell zastrzyknięta. jak to wynika z oficjalnych dzienników choroby. Co się wiec stało z resztą wypisanej morfiny i heroiny? Są to środki narkotyczne bardzo wysoko cenione na międzynarodowym rynku handlu narkotykami. Jeśli sędziowie przysięgli uważają, że doktor Adams był nieuczciwy wypisując tę ilość narkotyków i handlując nimi, to można go prędzej posądzić o nieuczciwe postępowanie lekarskie i skakać go za to, niż bez podstaw i dowodów uznać go za winnego morderstwa.

— Gdyby jednak prokurator opierał cały swój akt oskarżenia tylko na receptach, musiałby w ciągu trwania procesu uznać wniosek obrony, która prosiła o przerwanie rozprawy z powodu braku dostatecznie silnych dowodów obciążających Adamsa. Recepty — to za mało. Jeśli jednak rozprawy nie przerwałem, doktor Adams zawdzięcza to swojemu obrońcy. Z dzienników chorób, które on nam przedstawił, wynika mimo wszystko, że doktor Adams kazał wstrzykiwać pani Moreli morfinę i heroinę w takiej ilości, która jednak mogła nasunąć podejrzenie o celowe morderstwo. Możecie panowie bardzo szybko dojść do wniosku, że doktor Adams był po prostu oszustem wyłudzającym spadek, ale to nie znaczy, że był mordercą.

— Z drugiej strony obrońca dostarczył sądowi niezbitych dowodów, że w ostatnich dniach przed śmiercią pani Morell była normalnie leczona i nie zastrzyknięto jej morfiny i heroiny w ilości powodującej śmierć, ani nie wpadła w sen przedśmiertny. Namowa do otrzymania spadku i morderstwo są tak od siebie dalekie jak niebo od ziemi. Zresztą Adams nie wiedział przed śmiercią pani Morell, że zapisała ona mu przedmioty srebrne wartości 276 funtów. *Rolls-Royce'a* otrzymał on od syna wdowy już po jej śmierci i bez zapisu testamentowego. Jej siostra szpitalna, dyżurująca w nocy, otrzymała w testamencie zapis w sumie 300 funtów, a swemu szoferowi pani Moreli zapisała aż 1000 funtów...

Jeśli nawet założycie, panowie przysięgli, że doktor Adams użył narkotyków jako trucizny nie w celu przemyślnego morderstwa, ale dlatego, że był to najlepszy i najłatwiejszy sposób, aby się pozbyć uciążliwej pacjentki — czy założenie to pomoże wam w wydaniu wyroku o MORDERSTWO?

— Dowody oskarżenia — ciągnął dalej sędzia — są dość mocne. Ale w tym wypadku nie mogę twierdzić, że dowody dostarczone przez obronę są mniejszej wartości i wagi. W takim wypadku obrona ma więcej powodów do sądzenia, że jej klient będzie uniewinniony...

Po przemówieniu sędziego Derlicha, które zakończyło rozprawę sądową, prokurator natychmiast zrzekł się oskarżenia przeciw Adamsowi o dokonani mordu na małżonkach Hullet.

Sędziowie udali się na naradę.

Z celi śmierci na wolność

Doktor Adams został natychmiast po zakończeniu przewodu sądowego odprowadzony do celi nr 3 więzienia w Old Bailey, mieszczącej się pod salą sądów w której odbywała się jego rozprawa. Tu usiadł n taborecie i poprosił o szklankę wody.

Tu czeka na wyrok.

Strażnicy więzienni opowiadali później, że doktor Adams był jedynym więźniem na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, który po rozprawie i wejściu do celi zachowywał się tak, jakby to nie o nim był mowa. Był zupełnie spokojny, poprosił o „Daily Herald” — jedyną gazetę, którą czytał w czasie rozprawy i która nigdy nie nazwała Adamsa „mordercą wdów”.

Doktor Adams siedział przy stole i czytał. Był opanowany i pewny siebie. Nie stracił nawet apetytu.

Po czterdziestu czterech minutach kolegium sędziowskie wróciło na salę rozpraw i

ogłosiło wyrok.

DOKTOR ADAMS UNIEWINNIONY!

Wyrok uniewinniający zgodnie z prawem angielskim podlega apelacji.

* * *

Zakład Ubezpieczeniowy, w którym doktor Adams był ubezpieczony na wypadek procesu sądowego, wypłacił obronie 20.000 funtów szterlingów, gdyż tyle wynosiły jej koszty. Doktor Adams nie wydał na obronę ani grosza. Po wyjściu na wolność „Daily Express" natychmiast zawarł umowę z doktorem Adamsem na sporządzenie fotograficznego „*Dziennika życia doktora Adamsa*", który natychmiast ta gazeta opublikowała.

Po ogłoszeniu wyroku wrócił do Eastbourne i do swoich przyzwyczajeń. Widują go często mieszkańcy Eastbourne nad rzeczką, z wędką w ręku albo z aparatem fotograficznym...

Nie stracił ani jednego pacjenta.

Na procesie jeszcze dobrze zarobił. Za fotograficzny „*Dziennik życia*" opublikowany przez „Daily Express" dostał 16.000 funtów w gotówce, czyli 2000 funtów więcej niż w ciągu całej swej trzydziestoletniej praktyki lekarskiej otrzymał w spadku od szesnastu wdów, starych panien i innych zmarłych pacjentek...

HENRYK SERT

TAJFUN

(Opowieść marynarska)

... W ROKU 1942 służyłem na torpedowcu *Neptun*. Załoga była dobrana, okręt dobry, nic dziwnego, że ten czas chętnie wspominam. Kapitanem był Irlandczyk O'Hara. Gębę miał paskudnie pokrytą bliznami. Raz wpakował się na minę i po tym pozostały mu te pamiątki. Na ogół nikt go nie lubił, zresztą on sam nas nie dostrzegał. Był zakochany w swoim pudle i nas potrzebował tylko po to, by ono pływało.

Na ostatnim rejsie byliśmy pół roku na morzu. Pół roku wpatrywania się w niego i wodę, to piekielnie dużo. Wszyscy chorowaliśmy na tęsknotę za lądem, a to niebezpieczna choroba. Człowiek porusza się tak, jakby miał ołów w żyłach. I każdy rozkaz przyjmuje z otępiałym wyrazem twarzy. Wykonuje go mechanicznie, bez udziału własnego rozumu, staje się czymś podobnym do tego, co wojskowi określają: „jednostka nie zdolna do dalszego działania". W takim wypadku najlepszym lekarstwem jest dwutygodniowy urlop i kawałek lądu.

Gdy wypuszczono nas na ląd, poszedłem do knajpy, gdzie miałem znajomą kelnerkę. Wysoka blondynka o białej skórze i jędrnym ciele była przedmiotem moich westchnień; przez jedną noc zrobiła mnie normalnego człowieka.

Przez całą drogę od portu do knajpy myślałem o niej. Ale w ten dzień przyszedłem w nieodpowiedniej porze — była zajęta.

Usiadłem przy stoliku i zamówiłem butelkę koniaku. I czekałem na nią. Długo czekałem. Zamówiłem drugą butelkę. Pod nogami miałem solidny ląd, a nie ten kawałek kołyszącego się żelastwa. I tak mi się wydaje, że świadomość pełnego bezpieczeństwa przeobraża człowieka. Wzbudza w nim te wszelkie głupstwa, o których na morzu nie myśli. Po tej drugiej butelce zabawiłem się w zdradzonego kochanka i wywołałem nielichą awanturę. Nazajutrz obudziłem się w celi. A że w czasie wojny takie sprawy szybko się załatwia, postawiono

mnie przed sądem i zafasowałem dwa miesiące karnej kompanii.

Dwa miesiące to niedużo dla szczura lądowego. Dla marynarza, który ciągle myślał o krótkim, ale beztroskim pobycie na lądzie, to pewna śmierć.

Oni o tym też wiedzieli, dlatego dano mi do wyboru: karna kompania albo służba na tankowcu *Black Berry*.

Coś niecoś słyszałem o *Black Berry*. W 1939 roku czekał w doku, aż go przerobią na puszki do konserw. Wybuch wojny przedłużył mu życie. Wyremontowano go, wymalowano i ze stekiem przekleństw puszczono na wodę.

To stare pudło miało złą markę. Każdy wiedział, że pewnego dnia rozleci się na pełnym morzu. W czasie burzy całe to pudło stękało i jęczało jak stado oszalałych czartów. Najodważniejsi po jednym takim koncercie uciekali z tej wyjącej skrzyni.

Ten fakt zadecydował, że tankowiec zamieniono w swego rodzaju karniak. Wszystkim, którzy popełnili jakieś drobne świństwo, ofiarowano odbycie kary na *Black Berry*. Odtąd załogę tankowca nazwano „kompanią wisielców".

Wystarczyło podpisać zobowiązanie, by zostać członkiem tej kompanii. Ale jakoś nie mogłem się zdecydować. Nigdy nie pływałem na trumnie i chciałem żyć. Wybrałem karniak, ale sukinsyny jakby na złość kazali mi czyścić kloakę. Nie wytrzymałem długo, po tygodniu podpisałem papierek, jaki mi podsunięto. Dostałem bilet na drogę, wałówkę i pojechałem.

Kapitanem tankowca był Henry Samson, poprzednio prowadził *Bergut*, który storpedowano w 1940 roku na Morzu Śródziemnym. Podobno chciał zarobić order i niepotrzebnie stracił okręt i ludzi. Tak mówiono, ale nikt mu tego nie dowiódł. Dlatego wykręcił się przed sądem. Jednak łatka, jaką mu przylepiono, zrobiła swoje. Dostał *Black Berry*.

Po raz pierwszy ujrzałem go na pokładzie *Black Berry*. Stał oparty o balustradę, palił krótką fajkę i z ukosa patrzał na tych, którzy wchodzili po trapie.

Wieczorem zebrał całą załogę. Stanęliśmy rzędem na pokładzie. On przyszedł z nieodłączną fajeczką w zębach. Złożyłem mu raport, ale odniosłem wrażenie, że nie słuchał tego, co mówiłem. W najbardziej nieoczekiwanym momencie wolnym krokiem ruszył z miejsca. Szedł tak blisko szeregu, że wszyscy odczuliśmy jego oddech. Przed każdym się zatrzymywał. patrzał mu w oczy i szedł dalej.

Miał oczy dzikiego zwierzęcia. Czułem się tak, jakby mnie żywcem pożerano. Mimo tego zdążyłem zauważyć, że w tym dzikim wzroku kryje się niesamowity lęk człowieka przerażonego tym wszystkim, co się wokół niego dzieje, a który chciałby utrzymać na powierzchni. Był błaznem. a swą pozorną srogością chciał panować nad wszystkim.

Kajuty na *Black Berry* nie były salonami. Wszystko śmierdziało tu ropą Ba, wokół tankowca nawet powietrze cuchnęło. Czułem, jak coś mi legło na piersi, trzymało za gardło i dusiło. Przeklinałem tę chwilę, w której zdecydowałem się na tę służbę.

O godzinie 3,20 holownik wyciągnął nas z portu. Niebo było czarne, gęsto upstrzone gwiazdami. Nikt nie żegnał tej pływającej trumny. Na mostku stał kapitan i patrzał jak uciekają światła portu. Stałem za jego plecami i przyznam, że w miarę jak znikały światła ogarniał mnie strach.

Byliśmy siódmym i ostatnim tankowcem w kolumnie. Trzy torpedowce i dwa niszczyciele miały nas bronić przed nieprzyjacielem. To mało, bardzo mało. Tankowiec to żagiew, której wystarczy iskra, by wybuchnąć.

I tak się zaczęło. Nazajutrz rano z kabiny nawigacyjnej obserwowałem kapitana, gdy odbierał apel. Przemawiał do załogi, nie słyszałem słów, ale jego ruchy i gesty wystarczyły, by wszystko zrozumieć. Przywitał ich jak psów i zmieszał z błotem. Ten rejs zapowiadał się niewesoło. Czekałem, aż kapitan nadejdzie do mnie. Wyczułem, że najbardziej nie podobam mu się z załogi. Gdyby mógł odgadnąć moje myśli, wtedy przekonałby się, że moje zdanie o nim samym nie jest najlepsze.

Ale takie pływające pudło nie pozwala na wzajemne unikanie się. Czekałem na niego i

doczekałem się. Niespodziewanie stanął za mną. Wyczułem jego obecność, odwróciłem głowę. Źle wyglądał, był nieogolony. Wargi miał popękane, domyśliłem się, że ostatnią noc suto oblał.

— Gdzieś poprzednio pływał? — zapytał.

— Na *Neptunie* — odrzekłem.

— Pod kapitanem O'Hara?

— Tak.

— Odpowiadał ci?

— Okręt był dobry. Nie takie gówno jak *Black Berry*.

— Pytałem o kapitana.

— Nie jestem plotkarzem — odciąłem ostro.

Zacisnął szczęki, w oczach pojawiły się ogniki, które szybko zgasły.

Widziałem, że z trudem panuje nad sobą. A ja udawałem, że od tej chwili w ogóle nie istnieje dla mnie. Po chwili milczenia wyszedł na pokład i tam wyładował swoją złość.

Od tego dnia zaczęło się. Chodziliśmy wokół siebie jak dwa warczące buldogi. Okręt ma swoje granice, wszystkie drogi schodzą się w środku.

Na zewnątrz morze, górą niebo i przed nami daleki horyzont. Morze było paskudne, jeszcze gorsze niebo. Cały świat to beczka pomyj, której lepiej nie ruszać, jeśli się nie chce utonąć w tym świństwie. Żałowałem, że dopuściłem do tej rozmowy. I cóż na tym zyskałem? Jednego osobistego wroga, który tu nawet Boga zastępował.

Niebo, jak na złość, było pełne ciężkich chmur. Wisiały nad nami i zdawało się, że lada chwila lunie deszcz. Powietrze było ciężkie, a ropa niesamowicie śmierdziała.

Przed nami płynął *Ben Hur*, dopiero w ubiegłym roku spuszczono go na wodę. Od tego czasu wiele przewiózł płynnego świństwa. Nienawidziłem tankowca, wstrętem przejmowała mnie sama nazwa „ropa”.

Z lewej strony płynął torpedowiec *Kapitan Bensky*. Na jego pokładzie mam starych znajomych.

Jeszcze nikt z nich nie wie, że siedzę na tej trumnie. Może to i lepiej, gdyż musiałbym się wstydzić za siebie. Za marynarkę i dowództwo, że jeszcze pozwala, by ta kadź snuła się po morzu.

Mówiłem już, że byliśmy siódmym i ostatnim tankowcem w kolumnie. Ostatni i pierwszy to paskudne miejsca. Tam zazwyczaj się zaczyna. Wystarczy wypuścić podwodne cygaro, trafić, a reszta ze strachu będzie się trzepotała jak złowiona ryba. I jeśli „podwodniak” ma kapitana z olejem w głowie, to wykorzysta on niewątpliwie moment zaskoczenia.

Niejeden raz brałem udział w takim balu. Tylko że zawsze byłem w grupie myśliwych. Nieprzyjemne uczucie ogarnia człowieka, gdy uzmysłowi sobie, że jest ściganą zwierzyną. Na domiar złego całe pudło leniwie poddaje się sterowi. Ciężkie to i powolne jak żółw z pełnym bandziochem. Nie chciałbym wykonać na nim gwałtownego zwrotu.

Pod wieczór mieliśmy zwiększyć szybkość. Ale nasz mechanik rwał włosy z głowy i zaklinał się na wszystkie świętości, że nie da rady. — Co oni myślą, że *Black Berry* to *Queen Mary!* — krzyczał ze złości.

Miał rację. Wiedział co chce. Szkoda, że kapitanem był Samson. Fałszywa ambicja nie pozwoliła mu przyznać się, że maszyny więcej nie wyciągną. Nie chciał, by transport był opóźniony z powodu *Black Berry*.

Maszyny zaczęły jęczeć, a pudło drżało i trzeszczało w wiązaniach. Wiedziałem czym to się może skończyć i dlatego postanowiłem pogadać z nim. Radziłem, by zawiadomił dowódcę transportu, że nasza balia przy tej szybkości długo nie pociągnie. Ale przeliczyłem się w swoich rachubach. Kto raz poczuł ciężar korony, ten niechętnie się go pozbywa.

— Zamknij gębę, nie potrzebuję twoich rad — odrzekł przez zaciśnięte zęby i zbliżył się do mnie. Podszedł za blisko. Dużo za blisko niż wypadało dowódcy. Trąciłem go lekko i

czapka spadła mu na podłogę. Nie ruszył się, by ją podnieść. Czekał, aż ja to zrobię. Poczerwieniał jak indor.

— Podnieś ją! — syknął przez zęby. — Słyszałeś? — dodał i jeszcze bardziej się zbliżył.

Zanosiło się na burzę. O. niedobrze, nie lubię takich sytuacji. A w tej odległości tracę wszelki szacunek czy posłuch do obojętnie jakiegokolwiek osobnika.

Widziałem jego błyszczące oczy. Mimo tego nie traciłem spokoju. Nim zdążył podnieść rękę, ja uderzyłem.

Ten cios całkowicie wytrącił go z równowagi. Nie oczekiwał. bym w ten sposób zareagował na jego indyczenie. Przyznam, że nie chciałbym być na jego miejscu. Wytworzyła się głupia sytuacja. I moim zdaniem wybrał najsłuszniejszą drogę. Splunął i ruszył w stronę wyjścia z kabiny nawigacyjnej.

W drzwiach odwrócił się i rzekł:

— Uważaj, rejs jeszcze się nie skończył.

— Zbyteczna troska i bez tego ostrzeżenia uważałbym na siebie.

Płynęliśmy już czwarty dzień. Atmosfera na okręcie była coraz gorsza. Wszystkim przejadła się ta pływająca beczka. Rozmowy jakoś się nie kleiły i przeważnie kończyły się kłótniami.

Niebo niezmiennie było czarne, ciężkie, złowróżbne. Odrobina słońca poprawiłaby nam humor.

Pod wieczór zarządzono ostre pogotowie. Dopłynęliśmy do rejonu, w którym zazwyczaj grasowały niemieckie łodzie podwodne. Miesiąc temu cały konwój w tym miejscu poszedł na dno. Samo wspomnienie tego faktu wprowadzało nas w nerwowe drżenie.

Dwie godziny później martwa fala uderzyła o burtę Barometr gwałtownie spadał w dół. Nim zdążyliśmy przygotować się na przyjęcie burzy, lunął paskudny deszcz. A potem diabli rozpoczęli swoje harce.

Black Berry teraz pokazał co siedzi w jego wnętrzu. Poprzez ryk szalejącego sztormu słyszeliśmy niesamowity skrzyp setek nitów tankowca.

Mogę was zapewnić, że ta orkiestra niejednego o słabym sercu do grobu by zapędziła. Wzięliśmy się za bary ze sztormem. Cała załoga miała robotę. I gdy nami miotało na wszystkie strony, naraz, na przedzie, wybuchnął słup ognia. A potem szeroko rozlał się po wodzie. Morze płonęło, wiatr szarpał płomieniami. Z tej ognistej kąpieli nikt nie wyjdzie żywy, nie chciałbym być w skórze tych nieszczęsnych. Spokój ich duszy.

Nasz wariat nie zmieniał kursu. Stał obok mnie i z szaleńczym uśmiechem patrzał jak drugi tankowiec zamienił się w ognistą fontannę.

Nie wiem co za diabeł wszedł w jego skórę, zmącił ten chory umysł i czyhał na naszą zagładę. Płynęliśmy wprost w płomienie; na ich tle *Black Berry* był idealnym celem. Najgorszy patałach w takiej chwili uciekałby co sił w maszynach. Byleby jak najprędzej wydostać się poza niebezpieczną strefę. A on zapatrzył się w ogień i nie zmieniał kursu.

„Czy on tego nie rozumie?” Gdy się zastanawiałem, do kabiny wszedł Ewarist. Źrenice miał rozszerzone. w oczach ujrzałem strach, okropny strach. Ten rodzaj strachu, który z największego tchórza robi dzikie zwierzę, nie cofające się przed żadnym niebezpieczeństwem.

— Coście, zwariowali... uciekać od ognia! — wymamrotał. Ale zamiast odpowiedzi dostał porządnego kopniaka. Samson jednym kopniakiem wyrzucił go z kabiny. Na chwilę mieliśmy spokój, ale ten spokój zwiastował burzę. Przeczuwałem, że za Ewaristem stoi cała załoga. A z tą bandą Samson nie może mierzyć swoich sił. Nadstawiłem uszu i tak mi się wydawało, że słyszałem głosy za drzwiami. Bzdura, to żadne rozmowy, gdyż wokół wszechwładnie panował szum maszyn. Myślami byłem przy nich, uczestniczyłem w rozmowie, buntowałem się przeciw szaleńcowi. Słyszałem, jak mówiono: — „ten wariat nas zgładzi”. — Słyszałem te słowa, choć nikogo z nich tu nie było. Czekałem, aż przyjdą. I doczekałem się.

Wtargnęli razem do wnętrza kabiny. A on zamiast przyznać się do popełnionego błędu — patrzył na nich drwiąco. Ba, nawet gdyby zełgał w żywe oczy, poparłbym go. Byleby uniknąć awantury i oddalić się od tego płonącego piekła.

Ale ten wariat odpiął rewolwer i rzekł:

— Kto chce być tym pierwszym?

Nie było chętnych. Największy bohater w obliczu śmierci jest niewiele większy od jamnika. Oni nie byli bohaterami. Wtedy nie wiem co za licho popchnęło mnie do ostatecznego zakończenia tej sprawy. Może ten moment zbliżającej się zguby wszystko przyspieszył.

— Zmieniamy kurs! — odezwałem się.

— Nie zmienisz — ostro odparł.

— Zmienię — powiedziałem z naciskiem.

Wtedy podniósł rewolwer na wysokość mego czoła. Oblałem się zimnym potem. Czekałem aż padnie strzał, lecz w ostatniej chwili uratował mnie radiotelegrafista, który przybiegł zdyszany.

— Panie kapitanie... panie kapitanie... Radio nie działa!

— Nie działa — powoli powtórzył. Wystarczył ten moment nieuwagi.

Jednym uderzeniem wytrąciłem mu rewolwer z ręki.

Samson upadł i to było początkiem jego końca. Leżał z otwartymi oczami i ustami. Jakby chciał wydać rozkaz, o którym przed chwilą nie chciał słyszeć.

Nikt go nie podnosił. Czekaliśmy, aż sam wstanie. Dopiero po jakimś czasie zrozumieliśmy, że kiepsko z nim.

Sztorm nie ustawał. Wiatr zgasił te olbrzymie ogniska, ciemność nastała, byliśmy uratowani. *Black Berry* powoli, lecz uporczywie posuwał się do przodu.

Nad ranem morze uspokoiło się. Powietrze było czyste i wonne, pozbawione tego charakterystycznego zapachu morskiej wody. Było orzeźwiające, pachniało lądem.

Tego dnia pierwszy wyszedłem na pokład. Pierwszy rzut oka na otoczenie przeraził mnie. Byliśmy sami na morzu. Gdy zastanawiałem się nad naszą sytuacją, inni wyszli na pokład. Tym drabom nie trzeba było wiele tłumaczyć, co oznacza ta pustka na morzu.

Poszliśmy do radiotelegrafisty. Siedział na stole, był pijany i dziwnym wzrokiem patrzał na aparaturę.

— Co z radiem? — zapytałem.

— Kupa śmieci, tyle to warte — odrzekł rozgoryczony.

Jest gorzej niż przypuszczałem. Naszą samotność pogłębiało uszkodzone radio. Ten dzień był feralny dla *Black Berry*. Jeszcze dobrze nie ochłonąłem z tej historii z radiem, gdy mi zameldowano, że podczas burzy został uszkodzony mechanizm sterowy. Płynęliśmy prostą linią, należałoby zatrzymać okręt, ale który dowódca zdecyduje .się na to w pobliżu żerowiska? Więc płynęliśmy w kierunku wprost przeciwnym do zamierzonego celu.

Wystarczyło, że kapitan zniknął, a cała ta banda zapomniała o dyscyplinie, która obowiązuje na morzu. Potworzyły się grupki ze swoimi dowódcami, a każda z nich myślała tylko nad tym, czy cało wyjdziemy z tej przygody.

Płynęliśmy wprost przed siebie, a przeklęte niemieckie rekiny, gdzieś głęboko ukryte pod wodą, udają, że śpią. Czatują, wyczekując odpowiedniego momentu. I nam spędzają sen z powiek, pozbawiają spokoju. Niektórzy z załogi stoją przy burtach i wpatrują się w wodę jakby chcieli przeniknąć ją wzrokiem.

Niedobrze dzieje się na pokładzie *Black Berry*. Zachorowaliśmy na strach, tak jak choruje się na katar. Odczuwamy go wszyscy. Na razie czas mija bez awantur, ale jak długo tak wytrzymamy? Wystarczy jedna przypadkowa iskra, by wszystko wyładować, co tkwi w tych grupkach. Jak długo jeszcze... kiedy wybuchnie pierwsza burza?

— Haaaloo. ciemna plama na horyzoncie! — wykrzyknął ktoś nagle.

Trąby obwieszczające koniec świata nie sprawiłyby głębszego wrażenia. Ciemna

plama... ale co kryje się za tą plamą... Może nasza kostuchna... łódź podwodna... A może ratunek, czy...

— Hej tam, wytrzeszcz ślepia i powiedz co to jest!

Nie odpowiedział mi... Czekaliśmy.

Pół godziny później wszystko się wyjaśniło. Ciemną plamą okazała się mała tratwa z czterema rozbitkami.

Wszystkim wrócił humor. Zaczęliśmy się naigrawać z przedwczesnego strachu. Czapki poszły w górę, popłynęła struga koniaku.

Wzięliśmy kurs na tratwę. Nie... nie my, a los pognał ich w naszą stronę. Sam nie wiem. jak mogli się utrzymać na tej łupinie. Kilka desek naprędce zbitych. oto cała tratwa. I w dodatku cztery osoby. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Już ich widzieliśmy.

Gdyby im dać solidniejszą podłogę i trochę żywności, mogliby kpić z całego świata, wojny i ludzi, którym życie stało się niemiłe.

Ale zabrakło im żywności, obaj zagłodzeni bohaterzy leżeli bez ruchu. One patrzały na nas zobojętniałym wzrokiem. Ratunek nadszedł w tym momencie, w którym nie przynosi już radości. Ocalenie przyjęły z całkowitą rezygnacją. Trzeba urodzić się pod złą gwiazdą, by z jednego łajna wdepnąć w drugie. Tam były już przygotowane na śmierć. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, i nastąpiłby koniec. Teraz znowu odżyje pragnienie życia.

Tych dwóch pozostawiliśmy na pokładzie pod namiotem. Wieczorem jeden zmarł. Poszedł na same dno. Na lądzie grób nie jest tak głęboki jak tu na morzu. Spokój jego duszy.

Ten pogrzeb nie bardzo się udał. Nikt nie modlił się za jego duszę. Po prostu rzucono go do wody. Maszynista dał sygnał — i koniec. Zginął jeden człowiek i nikt tego nie zauważył. Przechodzimy nad tym do porządku dziennego. Chyba miał jakichś bliskich. Ci na pewno uronią parę łez. To wszystko.

Ten drugi nad ranem otwarł oczy. W oczach zabłysły dwa ogniki, zabłysły i zgasły. Spojrzał na mnie i nagle wyskoczył z łóżka. Stanął przede mną nagi jak prorok Jeremiasz i rozdziawił gębę. Ustami poruszał jak ryba, która łaknie wody.

— Aaaa, słyszysz muzykę?

Zwariował. Przeżegnałem się i chciałem uciekać, ale zagrodził mi drogę.

— Uciekasz? Pójdę z tobą — zadecydował głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Gdzie chcesz iść? — zapytałem go.

— Do ogrodu!

— Gdzie?

— Lubię kwiaty. Wdzięczny jestem temu co je stworzył. Masz biblię?

— Znajdzie się. — Nadarzyła się okazja do ucieczki przed tym wariatem. Wymknąłem się z kabiny, ale na korytarzu żal mi się zrobiło biedaka. I przyniosłem mu tę biblię. Duża książka oprawiona w skórę ze złotym nadrukiem. Sprawiła na nim niezwykłe wrażenie. Głaskał ją, całował, a potem nie pytając o nic wyszedł z nią na pokład.

Od tej chwili, wbrew swej woli, *Black Berry* dostał kaznodzieję. Pierwszego, który od momentu spuszczenia *Black Berry* na wodę stanął na jego pokładzie.

Ale idziemy dalej. Teraz kolej powiedzieć parę słów o kobietach. Black Berry nie miał szczęścia do księży i do kobiet. Dlatego ich unikał i zawsze na tym dobrze wychodził. Kobieta na okręcie to niedobry znak. Widocznie nadeszła pora, by i one przyczyniły się do zniszczenia, jakie tu zapoczątkował wiatr, woda i czas.

Morze i strach weszły nam w krew. Ba, nawet przypuszczam, że zmieniły kolor naszej krwi. Popadliśmy w jakiś dziwny trans, w którym wszechwładnie panował strach. Wypatrywaliśmy przeklętego peryskopu. który by obwieścił nasz koniec. A koniec jak na złość nie nadchodził.

A one, diablice, nabierały rumieńców. Wraz z odpoczynkiem powracały do życia zapominając o złej przygodzie. Do pewnego czasu nie dostrzegaliśmy ich obecności, ale nadszedł

dzień, w którym nastąpiło przebudzenie.

Podobno skazany na śmierć, na krótko przed egzekucją może zażądać sprowadzenia kobiety. Skąd ją władze więzienne biorą? Biorą pierwszą lepszą z ulicy i płacą co żąda.

Skazańcowi wolno, a jakbyś nas nazwał? Wszyscy, nie wyłączając kapitana, byliśmy skazańcami. Posadzono nas na tej zgniłej, śmierdzącej beczce i powiedziano: płyńcie. Jeśli was szlag nie trafi, to będziecie żyć. A gdyby was strach zabił, to ludzkość nic na tym nie straci. Zamiast kobiety dano nam miraż wolności ograniczonej przestrzenią i rozkazem.

One były wśród nas, rozumiesz. One dwie, a nas całe stado. I każdy widział siebie na dnie morza.

Dwie kobiety: blondynka i czerwona jak marchew. Ta czerwona była chuda jak szczapa. Na lądzie ani kulawy pies by na nią nie spojrzał. Tu była kobietą, a nam nie chodziło o piękność.

Ta druga miała osiemnaście lat. Łakomy kąsek, a nas dwudziestu. Na statku, który poszedł na dno, był jej narzeczony, przypuszcza, że zginął. I dzień po dniu opłakuje stratę. Wielką miłość trzeba szczodrze opłakać.

Tu to nie było potrzebne. Wokół woda, woda i poza tym nic więcej. Chodziła i płakała, a my kątem oczu obserwowaliśmy wszystko co robiła.

Bestyjka była zgrabna. Niejedna mogła jej zazdrościć takiej figury. Morze było puste, niebo pochmurne. Droga przed *Black Berry* wolna, więc płynęliśmy.

Płynęliśmy godzinę po godzinie, bez chwili wytchnienia. Był to wyścig, w którym główną nagrodą było życie. Płynęliśmy więc wytrzeszczając ślepia na tę gąskę.

Osiemnaście lat — w tym wieku rozpacz jest najczarniejsza. Wydaje się nam, że jedno nieszczęście całkowicie nas pogrzebie.

Ale ta ruda była ulepiona z innej gliny. Może nie z innej, ale natura nie tak szczodrze ją przyozdobiła. A to wystarczyło, by zniechęcić amantów do wycieczek w jej stronę.

Zazdrościła innym ich powodzenia i sama w sobie wzbudzała pożądanie. Niespełnione pragnienia i sny teraz miały się urzeczywistnić. Mówiłem już, że była chuda jak szczapa. Wyglądała na urodzoną dewotkę, która z pragnienia usycha.

Ale tutaj nie mieliśmy wyboru. Ta młoda, ze swoją zbolałą twarzą, wzbudzała litość, była nietykalna. Ta ruda długo nie czekała na okazję.

Black Berry z procentem oddał jej to, o czym skrycie marzyła. I w krótkim czasie okazało się, że nienasycone pragnienie było powodem jej przeraźliwej chudości.

Gdyż te kości w oczach jakoś cielskiem się pokrywały. Ale ona mnie nie pociągała. Podobała mi się ta młoda, z powodu jej bezgranicznej rozpaczy. Poza tym pociągała mnie jej niewinność.

Jednej nocy zastałem ją przy burcie. Niebo było czyste, gwiazdy i księżyc świeciły tak jasno, że można by książkę czytać.

Stała nieruchomo. Wiatr uniósł jej kosmyk włosów. Oparła się o burtę i patrzała na wodę. Nie wiem o czym myślała, ale ta pora, miejsce i stan psychiczny nie wróżyły nic dobrego. Podszedłem do niej i odgłos kroków ją spłoszył. Uciekła jak sarenka.

Następne dni nie były zbyt pomyślne. Trzy razy obserwator na horyzoncie wykrył jakieś plamy. Szczurom lądowym wydaje się, że na tym bezmiarze wód nie ma możliwości, by dwie cząstki zbliżyły się do siebie. A jednak to nieprawda. Te ciemne plamy były szczątkami okrętów, które poszły na dno.

Robert Kelly przed wojną pracował w warsztacie J. Burke. Swego szefa nie widział dwa lata. Tu na morzu zapomniał o jego istnieniu. Zapomniał i dobrze zrobił. Nigdy by nie przypuszczał, że spotkają się na morzu. A Burke przypłynął niesiony przez fale z wykrzywioną twarzą. Akurat w tym czasie, gdy Robert stał na pokładzie i przez szkła patrzał na to, co płynie w naszą stronę. Gdy ujrzał szefa, szkła wypadły mu z rąk i wrzasnął — Burkeee!!! Niewiele brakowało, a wskoczyłby do wody. Na szczęście w porę go zatrzymano. Zwyciężo-

ny usiadł na skrzyni i zaczął płakać.

Kelly był pierwszy. Drugi — to Makson, starszy mechanik. On rzadko wychodził na pokład. Zawsze twierdził, że jeśli nam jest przeznaczone dopłynąć, to dopłyniemy nawet bez maszyn. A jeśli nie, to szkoda sił. Lepiej od razu przedziurawić okręt, pomodlić się i pójść na dno.

Podczas przeglądu maszyn kropla oleju wpadła mu do oka i musiał wyjść na pokład. Wyciągaliśmy właśnie skrzynkę z wody i pomógł nam. Po otwarciu jej okazało się, że była pełna gazet. To poprawiło mu humor, roześmiał się na głos. Drwił z naszego łupu, ale jedną gazetę wziął do przeczytania. Widzieliśmy, jak wolnym krokiem szedł po pokładzie i czytał. Nagle wrzasnął przeraźliwie, złapał się za głowę i zaczął stąpać w jednym miejscu jak podrażniony niedźwiedź.

Pobiegliśmy do niego, ale bez słowa wyjaśnienia odsunął nas od siebie. Poszedł do burty i tam zaczął głośno płakać.

Widziałem wielu płaczących mężczyzn. Na ogół z każdego płaczu naigrawałem się co niemiara. Ale ten mną wstrząsnął. Instynktownie przeczułem nieszczęście, postanowiłem go obserwować. Ale wystarczyła chwila nieuwagi i rzucił się do wody. Wybrał pewną śmierć, taką, by nikt go nie mógł ratować. Skoczył tuż przy śrubie okrętowej.

W gazecie była wzmianka o zbombardowaniu Huxley. Wśród zabitych była cała jego rodzina. Nie miał do kogo wracać. Wiadomość przyszła w najbardziej nieodpowiedniej porze. Gdyby o ich śmierci dowiedział się na lądzie, jakoś by przełamał swój ból. Ale tutaj ta atmosfera niewiedzy go zabiła. Spokój duszy poczciwego człowieka i dobrego marynarza.

Aż nadszedł paskudny dzień! Z samego rana coś w silniku się popsuło i trzeba było go zatrzymać.

Mally to drań najwyższej klasy, ale dobry mechanik. Diabli wiedzą, gdzie ta moczymorda tego się nauczyła. Wystarczyło, że wsłuchał się w postękiwania motoru i nieomylnie wykrywał miejsce i rodzaj uszkodzenia. W naszym motorze zerwał się bolec przy tłoku.

Black Berry od siedmiu tygodni po raz pierwszy stoi spokojnie; gdyby w pobliżu był kawałek lądu, nic by nie brakowało do naszego szczęścia. A tu wokoło pustka, spokojne morze i okropny strach. Ta cisza jest piekielnie groźna, gdyż nie pozwala zapomnieć o naszej sytuacji.

Zebraliśmy się na pokładzie. Ewarist pierwszy powiedział to, o czym wszyscy myśleli.

— Ciekawym, jak długo trzeba jechać do piekła?

— To zależy od ludzkich zasług.

— Jak myślisz, czy to pudło prędzej płynie od łodzi? — zagadnął mnie.

Domyśliłem się o co mu chodzi. Szaleńczy pomysł. Ale w takiej sytuacji na najgorsze głupstwa można się odważyć. Wiedziałem, że wielu spośród załogi nosi się z zamiarem dezercji. Ale łudziłem się, że zabraknie im odwagi. Na razie nikt o tym głośno nie mówił, a teraz Ewarist za jednym razem może ich popchnąć do tego samobójstwa.

— Chcesz zwiać? Wiesz, czym to pachnie?

— Wiem. Ale nie znajdzie się taki, który by powiedział, że zdezerterowałem.

— Jesteś zbyt pewny siebie.

— Ten, co pójdzie ze mną, nie powie. A ci, co tutaj pozostaną, staną tylko przed sądem boskim.

— Do czego zmierzasz?

— Słyszałeś. Najwyższy czas, by pożegnać się z *Black Berry*.

— To szaleństwo!

— To czekaj, aż fale przyniosą ci kogoś znajomego.

Podskoczyłem do niego. Chciałem chwycić go za gardło i zbić po pysku. Nie wiem, na czym skończyłaby się ta historia, gdyby kaznodzieja nie stanął między nami. Szaleniec nie zwracał uwagi na głośne protesty i zawołał:

— Módlmy się! — po czym zaczął śpiewać psalmy Dawidowe.

W samo południe usunięto uszkodzenie. *Black Berry* znowu poddawał się sterowi. Ruszyły motory.

Atmosfera po tym zajściu była nie do zniesienia. Słyszałem szepty, widziałem złowrogie spojrzenia. I na wszelki wypadek uzbroiłem się. Do konfliktu jednak nie doszło. W dwie godziny później ktoś krzyknął:

— Peryskop z lewej burty!

Popatrzyłem przez lewą. Rzeczywiście, nad wodą wystawał drążek peryskopu, za którym ciągnęła się wąska smuga białej piany.

Dzisiaj sam nie wiem co to było. Czy zbiorowa halucynacja, czy coś innego. Tak długo czekaliśmy na niego. Widzieliśmy go w naszej wyobraźni, że wystarczał okrzyk „peryskop” — by wytworzyć jego widmo. A może po prostu był to jakiś drążek, który nam towarzyszył? W żadnym wypadku nie mogę wam tego wyjaśnić. Choć z drugiej strony przysiągłbym, że go widziałem. Że go wszyscy widzieli.

A więc stało się, nic nas nie uratuje. Nikt nie potrafi sobie wyobrazić tych śmiertelnie bladych twarzy, z przerażenia wysadzonych z orbit. W milczeniu staliśmy nieruchomo na pokładzie.

Peryskop wystawał nad wodą, a oczekiwanej torpedy nie było widać. Więc wynurzy się z wody i ostrzela nas z działa. Jedno celne trafienie i *Black Berry* zamieni się w płonącą żagiew.

Poszedłem do kajuty Samsona. Leżał spokojnie., chciałem mu poprawić poduszkę i wtedy stwierdziłem, że rogata dusza opuściła to ciało. Poczułem się nieswojo. On nas wyprzedził.

Poszedłem do kobiet. Obydwie stały przy iluminatorach. W ich oczach dostrzegłem te same objawy strachu, które widziałem na pokładzie. Stanąłem między nimi, były przeraźliwie gorące. Czekaliśmy, a wybuch nie następował.

Tak upłynęła godzina, potem druga, trzecia. I nieoczekiwanie, gdy już człowiek popadł w stan krańcowego zobojętnienia, na pokładzie odezwały się wrzaski radości. Strzelano z pistoletów. A każdemu strzałowi towarzyszyła salwa śmiechu. Wearst przybiegł z wiadomością, że łódź odpłynęła.

Ale niedługo trwała ta radość, bo godzinę później znowu ukazał się ten przeklęty peryskop. I już nie opuścił nas aż do zmroku.

Wieczorem grupa Ewarista spuściła szalupę i ruszyła w wielką niewiadomą. Próbowałem ich odwieść od tego zamiaru, ale nadaremnie, wyśmiano mnie. I życzono przyjemnego smażenia się na samym dnie piekieł.

Po ich odjeździe pozostałych ogarnęło przygnębienie. Jeszcze ta noc należy do nas. Ta jedna noc, a jutro...?

O jutrze nie warto wspominać. Zebraliśmy się w jadalni. Ja, dwie kobiety, sześciu marynarzy, wariat i trup kapitana. Patrzyliśmy na siebie i każdy udawał, że nie widzi żadnej zmiany u drugiego. Tymczasem byliśmy szalenie inni. Przypuszczam, że człowiek, którego za godzinę poprowadzą na stracenie, pasowałby do naszego towarzystwa.

Jedna z kobiet, Fanny, przystroiła się w szmatki, które tu, na *Black Berry* sobie uszyła. Te szmatki, szminka i puder doskonale maskowały wszystko to, o czym teraz myślała.

Agnes siedziała przy mnie. Patrząc na nią odniosłem wrażenie, że jest w głębokiej rozterce. Zastanawia się jak wykorzystać tę noc. Z początku nie dała się wciągnąć w pijackie wrzaski Fanny. Ale później doszła do wniosku, że nie ma już nic do stracenia. Zażądała wódki, nalano jej parę kieliszków. Wypiła je bez skrzywienia ust. Och, jakże łapczywie piła, jak gdyby ten ogień, który wsączał się w jej żyły, dawał spokój i zapomnienie.

Zaczęła śpiewać. Była piękna w tym szaleństwie ludzi straconych dla świata, skazanych na śmierć.

Za oknami, głęboko pod wodą, płynie złowroga łódź. A tu sześciu marynarzy — przyszłych topielców. Zapomniałem ich przedstawić.

Ten pierwszy, to Otto Mackie, lat 24. Ukończył studia teologiczne i gdyby nie jedno głupstwo, mógłby prowadzić szczęśliwy żywot. A po śmierci czekałaby go wieczna nagroda.

Jedna libacja w niezbyt cnotliwym towarzystwie przekreśliła te nadzieje i rzuciła go na morze. A woda w krótkim czasie wypłukała z niego te wszystkie mądrości, którymi karmiono go przez cztery lata. Na morzu zdziczał, sczerniał, a reszty dokonały bladolice piękności, od których roi się w każdym porcie.

Od jednej z nich trafił wprost na *Black Berry*. Widocznie miał takiego pecha jak i ja.

Bill Hicpok, lat 30, chciałby śpiewać, ale jego gardziołko wydaje dźwięki podobne do zgrzytu szkła po blasze. Bill jest równym kumplem i nie chce psuć nastroju, więc otwiera gębę, udaje, że śpiewa.

Dziwny typ: na lądzie uciekał od łodzi. Siadał nad rzeką i całymi godzinami wpatrywał się w pływak wędki. Zawsze tęsknił za jakimś ustronnym miejscem. Z dala od zgiełku miasta, z dala od ludzi. Do tego potrzebował tylko czarodziejską torbę, która by zaspokajała jego niewygórowane żądania. Ten tryb życia sprawił, że miał zdrowie tura, a na takich czeka morze.

Gilbert był najstarszym wśród nas. Może ktoś z was zna go osobiście. Był roznosicielem mleka w New Yorku, przy Card Street. Wysoki, barczysty, z ciemną czupryną, o ostrym spojrzeniu i ciętym języku. Co tu dużo gadać, był przystojnym mężczyzną. Nie chciałbym mieszkać w tej dzielnicy, gdzie on mleko roznosił. Niejednemu zazdrośnikowi rogi przyprawił.

Gilbert miał słabą głowę do wódki. Już po kilku kieliszkach opowiadał, jak poznał swoją żonę.

... Pod dwudziestym czwartym mieszkała Nelly Benson. Jej mąż pracował w Ywestonie, gdzie siedział przez cały tydzień. Do domu wracał tylko w soboty. I wtedy cieszył się szczęściem małżeńskim.

Nelly była młoda, za młoda na żonę, której mąż przez cały tydzień siedzi poza domem.

Pewnego dnia przyniosłem mleko i już chciałem odejść, ale zauważyłem, że drzwi są otwarte. Zaciekawiony tym wszedłem do wnętrza... I wyszedłem stamtąd w samo południe. W kieszeni miałem klucz od jej mieszkania. Codziennie z rana na pięć minut rozgrzewałem się w jej łóżku.

Jednego razu Nelly wyjechała do męża, bez uprzedzenia mnie. W tym dniu mieszkanie dozorowała córka dozorcy. Tej córce było na imię Marty. Spała, gdy wśliznąłem się pod kołdrę. Na dworze było ciemno, a ona przerażona milczała. Tego dnia byłem szczególnie głodny. I po raz pierwszy od dwudziestu lat moi klienci nie dostali mleka. Z tego powodu kłopotu miałem co niemiara, ale co to znaczy w porównaniu z tym, że znalazłem żonę.

Gilbert mimo swoich czterdziestu lat, wyglądał młodo. Perfumował się jak młody fircyk. Te perfumy sprowadziły go na *Black Berry*. Kiedyś kapitan rzekł do niego: — Śmierdzisz jak stara lafirynda — i za to dostał w papę.

Trzej pozostali to bracia. Wszyscy pochodzą z Bostonu. W cywilu na jednym kutrze łowili śledzie i inne paskudztwa. Kto chciałby ich bliżej poznać, musiałby zawitać do Bostonu i tam zapytać o trzech królów. Wszyscy ich tam znają. Nie było knajpy, gdzieby nie urządzili jakiejś burdy. Mimo tych wrodzonych wad, cała trójka była niesamowicie pracowita. A w dodatku szczęście im dopisywało jak nikomu innemu. Każdy rejs przynosił im masę zysku. Gdyby nauczono ich oszczędzać, w krótkim czasie dorobiliby się majątku. A tak wszystko ginęło w tych domach, gdzie ich przyjmowano.

W dniu wybuchu wojny wszystkich posadzono na jednym okręcie. Potem urlop, a z urlopu wprost na *Black Berry*.

Za dużo wypiłem, w głowie mi szumiało.

— Otwórzcie iluminatory — krzyknął ktoś zduszonym głosem. Fanny powstała i

chwiejnym krokiem podeszła do nich. Fala zimnego powietrza przyniosła mi chwilową ulgę.

— Fanny, widzisz coś? — zapytałem.

— Nie!

— Peryskop — mruknął Otto.

— Już północ. Jeszcze sześć godzin do świtu, a potem...

— Zamknij się — brutalnie przerwałem jej wylewność. Po co o tym mówić, o czym wszyscy myślą Ten przeklęty strach nie ucieka przed alkoholem, Jesteśmy pijani, a jednak myślimy o tym, co nam świt przyniesie.

Otto chwieje się na swoim krześle. Włosy ma bezładnie rozrzucone. Z trudem wstał z miejsca i z kieliszkiem wódki podszedł do Agnes.

— Napij się. — Wypiła. — A teraz zatańcz.

Fanny zachichotała.

Agnes się nie sprzeciwiała, weszła na stół. Ujrzeliśmy jej nogi. Gdy się ma osiemnaście lat i taką buzię, jednym mrugnięciem oka można świętego pozbawić wiecznego szczęścia. A nas, diabłów, ona mogłaby zamienić w aniołów.

Tańczyła. Te nagie nogi migały przed naszymi nosami. Ty siedzisz na dole i patrzysz do góry. A tam smakowity kąsek, którego nie wolno ci dotknąć.

Wtedy nagle zrozumiałem, że jej nie wolno tańczyć, gdyż zbyt nas drażniła. Musi zakończyć i to natychmiast. Kazałem jej zejść ze stołu, ale inni nie zgodzili się na to. Wówczas Fanny ściągnęła ją na ziemię. Obydwie wyszły, a w chwilę później Fanny wróciła.

Potem nagle odurzył mnie alkohol — a gdy wróciłem do przytomności, nikogo już nie było, prócz Fanny, która siedziała obok mnie i szczerzyła zęby.

— Gdzie oni — zapytałem.

— U Agnes.

Nie miałem sił, by powstać. Podała mi rękę i zaprowadziła do ich kajuty. Widziałem jak Otto wchodził do wnętrza, ale nie mogłem temu zapobiec. Chciałem krzyknąć, ale zatkano mi usta. Podsłuchiwano i wreszcie szmer zadowolenia świadczył, że stało się to, na co czekali.

Bezsilny stałem pod drzwiami i patrzyłem jak wchodzili do wnętrza, aż pozostałem sam. Potem Agnes sama wyszła i wciągnęła mnie do kajuty.

Obudziłem się wcześnie rano. Leżałem z otwartymi. oczami, wpatrując się w sufit. Jej spokojny oddech w niczym nie zdradzał tego, co tu zaszło. Wszystko nastąpiło nagle i niespodziewanie. Wstałem tak, by jej nie zbudzić, i popatrzyłem przez iluminator. Złowrogi peryskop zniknął. Odetchnąłem spokojnie. Wyszedłem na pokład, powietrze było chłodne, przyjemne. Wiatr wywiał ze mnie resztki alkoholu.

Zszedłem do jadalni. Wszyscy leżeli tam pokotem, obok Fanny. Splunąłem z obrzydzenia i wróciłem do Agnes.

Tej nocy na *Black Berry* przybyła jedna kobieta. — Kobieta, która dotąd była jakimś symbolem wiary i uczciwości.

Płynęliśmy naprzód, gnani strachem. Przerażone oczy zamieniły się w oczy drapieżnych dzikich zwierząt.

Byłbym zapomniał o naszym psalmiście. Tej nocy, pełnej orgii — wyszedł i już go nie znaleziono. Na pokładzie walały się podarte strony biblii. Tyle po nim pozostało.

Najstarszy z trójki, Jim, czyścił pistolet i nie wiadomo co się stało. Huk wystrzału ściągnął nas do niego. Miał przestrzeloną głowę. Druga ofiara w ciągu trzech dni. Ile czasu potrzeba, by wszyscy żywi zniknęli z *Black Berry*? Gilbert wyjął mu z ręki rewolwer i wyrzucił go za burtę.

Lubiłem tego chłopca, jego śmierć sprawiła mi nieoczekiwany ból. Po co to robił, czyżby stracił wiarę, że nie dopłyniemy? Dlaczego zabrakło mu sił do dalszego oczekiwania?

Niebo było czyste, bez jednej chmury, z lazurowym odcieniem. On pierwszy będzie miał prawdziwy morski kondukt pogrzebowy. Niedaleko *Black Berry* płyną rekiny, widzę jak

ich grzbiety błyszczą w słońcu. Całe stada po raz pierwszy od dłuższego czasu. Szkoda, żeś zmarł, Jim. Wielka szkoda, ale kto będzie tym następnym? Morze wchłonęło marynarza z *Black Berry*, nieszczęsnego pudła, któremu wojna kazała żyć. Po pogrzebie urządziliśmy stypę.

Kobiety przystroiły stół. Przyznam, że ta Fanny nie jest tak potwornie brzydka jak w pierwszym okresie. Agnes już się nie rumieni i żartuje z każdym. Uciekam przed jej wzrokiem i naumyślnie kokietuję Fanny. Mieliśmy usiąść do stołu, gdy obserwator ujrzał przewróconą do góry dnem łódź ratunkową.

Była to szalupa, którą Ewarist uciekł z *Black Berry*. A więc oni prędzej dotarli do piekła. Szkoda ich, spokój ich duszom.

Znowu dzień, dwa spokoju. Okręt coraz bardziej się kurczy. Dawniej, przy całej załodze, było tu tyle wolnego miejsca. Od tej nocy, w której Agnes stała się kobietą *Black Berry* — coraz częściej sobie przeszkadzamy. Każdy chciałby zagarnąć ją wyłącznie dla siebie.

Zrobiłem pomiary. Do najbliższego portu jeszcze daleko, a *Black Berry* już dwudziesty dzień płynie samotnie.

Dzisiejszej nocy Otto i Gilbert spuścili szalupę. Chcieli uciec z Agnes, ale ta mała wzięła z sobą siekierę i gdy oni wsiedli do szalupy — odcięła linę. Nim w ciemności zorientowali się, co zaszło, *Black Berry* już ich wyprzedził.

Fanny zatruła się mięsem. Żeby ją ratować, trzeba by zrobić płukanie żołądka, ale czym? Dałem jej porządną porcję wódki, po której poczuła się lepiej.

Ona pierwsza dostrzegła to, na co tak długo czekaliśmy. Na horyzoncie ukazała się mała smuga dymu. Ci, którzy pozostali na tym pudle, szaleli z radości. Zmieniłem kurs, zaczęliśmy się nawzajem zbliżać. Po godzinie rozpoznałem kontrtorpedowiec Victoria z naszego konwoju.

Przyjęto nas tak, jak przyjmuje się kogoś, o którym sądzono, że dawno jest nieboszczykiem. Widziałem rozwarte gęby i złe oczy. Patrzano na nas jak na złe duchy, które mogą przynieść nieszczęście. A nieszczęście na morzu to pewna śmierć.

Umieszczono nas w izolatkach i dobrze zrobiono. Musi upłynąć pewien okres czasu, aż staniemy się normalnymi ludźmi.

Do portu w Y... przybyliśmy pod wieczór. Obydwie kobiety niepostrzeżenie wyszły na ląd. Potem przyszła pora składania długotrwałych raportów. By żyć, musiałeś uzasadnić, dlaczego żyjesz, gdy inni zginęli. Z tych, którzy pozostali przy życiu, ani jeden nie wspomniał o zdarzeniu z kapitanem Samsonem.

Przyznam, że gdziekolwiek przybywam do portu, wszędzie szukam Agnes. Szukałem jej też przez ogłoszenia w gazetach, ale bez skutku.

Na pewno jest inna niż na *Black Berry*. Człowiek, który widzi śmierć, jest zawsze bliski i kurczowo chwyta się byle jakiej namiastki życia.

Chciałbym ujrzeć Agnes. Gdybyście spotkali kogoś, komu na imię Agnes, zapytajcie, czy pływała na *Black Berry*. Jeśli tak — powiedzcie jej, że stare pudło poszło na złom.

I prócz tego powiedzcie jej jeszcze, że...

JAROSŁAW HASEK

CAIUS ANTONIUS TROSSULUS W OPAŁACH

CAIUSOWI Antoniusowi Trossulusowi powierzono ważne zadanie. Miał dostarczyć jak najwięcej osób pod topór katowski, zapisując imiona nieszczęśników na liście proskrybo-

wanych. Czegóż powinni się dopuścić owi ludzie, aby ich głowy zawisły nad bramami miasta Arretio w Etrurii? Ohydnej zbrodni. *Crimen laesae maiestatis*, obrazy majestatu Wielokroć Jasnego cesarza rzymskiego Tyberiusza.

Antonius Trossulus był naczelnikiem tajnych liktorów, czuwających nad zachowaniem porządku w imperium. Pierwotnie zajmował się rozbojem w Tretanii nad rzeką Tiferno, później dostarczał porwane dziewczęta dzikim szczepom góralskim w Umbrii, a z kolei stał się złodziejem i okradał ubogich osadników w Collatio, odległym o czterysta pięćdziesiąt stadiów od Rzymu. Obecnie zaszczytne stanowisko zawdzięczał swemu bogatemu doświadczeniu, gdyż jako dawny rabuś, złodziej i bandzior potrafił się wszędzie wkręcić. A cóż było przyczyną, że miał swą działalność rozpocząć teraz właśnie w etruskim Arretio?

O bogowie! Któż z Rzymian nie wie, że wkrótce, w czasie Idów marcowych, cesarz Tyberiusz zawita ze stolicy do Arretio, aby sobie wykąpać nogi w rzece Arno, płynącej tu w odległości pięćdziesięciu tysięcy rzymskich kroków od miasta? Któż z Rzymian nie wie, że gmina Arretio wznosi od Corlony aż do swego miasta bramy triumfalne, że niewolnicy pracują dzień i noc, aby zdążyć z wkopaniem ozdobnych słupów? Zdaniem całej Etrurii, która jest co do tego zgodna jak jeden mąż, państwo wybuli na to takie mnóstwo pieniędzy, że po skończonych uroczystościach trzeba będzie urządzić wyprawę i złupić Umbrię, aby odbić sobie te straty. Lecz Pięciokroć Jasny Cesarz niech żyje!

Niech widzi, jak go kochają potomkowie Etrusków, kiedy z pylonów zapłoną znicze, a przewodniczący rady miejskiej Arretio wraz z trzema legiami załogi powita Najjaśniejszego. A potem odbędą się w miejscowym cyrku igrzyska, gdzie kilku skazanych na śmierć łotrów będzie się wzajemnie mordować i wołać ku górze, w stronę siedzącego w swej loży cesarza: *Morituri te salutant*; który z tych łotrów ostanie się przy życiu, tego Pięciokroć Jasny ułaskawi. *Salve caesar*.

Teraz Antonius Trossulus uda się więc na przechadzkę po mieście, przysłuchując się rozmowom mieszkańców, którzy podziwiają bramy triumfalne i z zainteresowaniem śledzą postępy prac przy ich wznoszeniu. W takiej to chwili będzie ich zagadywał Trossulus, naczelnik tajnych liktorów, i biada nędznikowi, który powie, że cesarz Tyberiusz to dureń. Nie musi tego nawet powiedzieć na głos, wystarczy, że pomyśli. I tak już przypieczętuje swój los. Zostanie przekazany w ręce liktorów publicznych, oblany za żywa smołą, a wieczorem, po przyjeździe cesarza, będzie wśród dźwięków trąb gorzał jasnym płomieniem na cześć Pięciokroć Jasnego, na cześć Jego boskości, a na pohybel swemu nikczemnemu ciału.

Wystarczy, jeśli ktoś powie, że stawianie bram triumfalnych jest idiotyzmem. Liktorowie wydadzą go pod topór i nędznik zostanie poćwiartowany na drodze do Corlony. Jeśli zaś ktoś się poskarży, że wśród ludu panuje nędza i głód, a na doraźne uczczenie cesarza wyrzuca się mnóstwo pieniędzy, to taki sukinsyn zginie żywcem porąbany na kawałki na wzgórzu cymińskim podczas wiwatów ludu: *Salve caesar!* — Ilu takich nikczemników wpisze Trossulus na listę proskrybowanych? To zależy od niego. I dlatego pójdźże teraz, Caiu Antoniusie, ku bramom triumfalnym, które wznoszą niewolnicy. Patrz, oto pełno gapiów przygląda się postępom prac.

Oto koło tego pylonu, na którym wiszą wieńce z tui pochodzącej ze wzgórz umbryjskich, stoi podejrzany człowiek o twarzy wyrażającej niezadowolenie, odziany w brudną tunikę. Jakoś on dziwnie spogląda, Antoniusie Trossulusie. Wszystkie oznaki wskazują, że jest to jakiś obdartus, który sobie myśli, iż gdyby miał tyle pieniędzy, ile kosztuje jeden ozdobny słup, zbudowałby sobie za nie domek nad jeziorem Trasumem. Jego sandały budzą podejrzenie. Czy ktoś przyglądający się budowie bram triumfalnych ku czci cesarza może nosić podarte sandały? Co taki człowiek może myśleć, kiedy mu do nich cieknie woda?

I dlatego przekonaj się sprytnie, kochany Antoniusie, co myśli o cesarzu i o tych uroczystościach ów biednie odziany i podejrzanie wyglądający nicpoń!

Caius Antonius Trossulus podszedł do niego z uśmiechem, nadepnął mu na nogę i rzekł

życzliwym głosem:

— O, przepraszam, przyjacielu.

— Nie szkodzi, wybaczam ci, przyjacielu. Patrz, mój drogi, jak wysokie są te słupy.

— Wysokie, wysokie, kochaneczku...

Nieznajomy uśmiechnął się i przysunął bliżej do Trossulusa:

— Myślę, że ludowi nie jest to obojętne.

„Widzisz, Trossulusie, dobrześ przeczuł. Oto masz przed sobą jednego zdrajcę stanu”.

— Sądzisz więc, że ludowi nie jest to obojętne, ja też tak myślę...

— A dlaczego myślisz, że nie, przecież cesarz...

— No, cesarz, zależy jak to rozumiesz... Wysokie są te słupy, ale mogłyby być jeszcze wyższe...

„Aha — pomyślał Trossulus — nie chcesz się dać złapać na słowo, zobaczymy”.

— Przypuszczasz, że cesarzowi jest to obojętne? Albo ludowi?

Nieznajomy błysnął dziwnie oczami.

— Ludowi? No, kosztuje to moc pieniędzy, a może uważasz, że nie?

— Masę pieniędzy, a niewolnicy też nie są za darmo — odparł Trossulus mając nadzieję przyłapać tamtego. Wokół nich zaczęli się gromadzić ludzie.

— Słupy są piękne — mówił nieznajomy — czy nie sądzisz, że za mało piękne dla Pięciokroć Jasnego?

— Najjaśniejszy ucieszy się z tak pięknych, a lud...

— Co masz na myśli, przyjacielu, mówiąc lud? Lud także, bo kocha cesarza.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Myślę o cesarzu, jaki to człowiek.

Trossulus też się roześmiał.

— Hehe, jaki to człowiek z Pięciokroć Jasnego...

— Dlaczego nie miałby być Jasny? — nieznajomy łowił chciwie każde słowo Caiusa Antoniusa.

— Wydaje mi się, że słońce jest jasne, ale cesarz jeszcze jaśniejszy.

Nieznajomy zakaszlał:

— Słońce i cesarz, oboje użyczają nam swego ciepła...

Trossulus pokręcił głową i pomyślał:

„Ten łajdak nie da się złapać”.

Przysunął się więc jeszcze bliżej do obcego i szepnął mu w ucho:

— Czy nie sądzisz, że zarówno lud wznoszący te bramy, jak i cesarz, który pod nimi przejedzie, to durnie?

— Skoro ty tak uważasz, to i ja tak sądzę — szepnął mu w odpowiedzi nieznajomy, a głośno krzyknął:

— Liktorowie... Do mnie, liktorzy...

— Liktorowie — wrzasnął jednocześnie Trossulus — prędzej, liktorzy!

Jeden trzymał drugiego za kark i obaj ryczeli:

— Tyś popełnił *crimen laesae maiestatis*, tyś obraził majestat Najjaśniejszego.

— Nie ja, ty nie wiesz, kim ja jestem.

— Tym bardziej nie ja, ja ci dopiero pokażę kim jestem.

A tu liktorowie już biegną.

— Ten człowiek powiedział, że ludzie i cesarz to durnie — darł się Trossulus.

— Toś ty, przeklętniku, rzekł, że lud i cesarz to wariaci — krzyczał nieznajomy.

— Ja jestem Caius Antonius Trossulus, naczelnik tajnych liktorów z Arretio, a ty kim jesteś zdrajco?

— Moje imię Marcius Julius Placentius, naczelnik tajnych liktorów w Rzymie...

Ale już było za późno przedstawiać się sobie wzajemnie. Biada tym, którzy dopuszczą

się *crimen laesae maiestatis*, którzy obrażą majestat Pięciokroć Jasnego cesarza Tyberiusza.

Caiusa Antoniusa Trossulusa poćwiartowano na drodze wiodącej do Corlony, a Marcius Julius Placentius został żywcem porąbany na wzgórzu cymińskim w momencie, kiedy Pięciokroć Jasny Tyberiusz wjeżdżał do miasta potomków Etrusków, a lud wznosił na jego cześć grzmiące okrzyki:

— *Salve ceasar!...*

A gdy wieczór opowiadano o tym wypadku Najjaśniejszemu, śmiał się jeszcze długo, długo w noc... Bądź pozdrowion Cezarze...

Przełożył z czeskiego *Stefan Dębski*

SPIS TREŚCI